

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

R o d z i n a

NR 33 (111) ROK III

WARSZAWA 19. VIII. 1962

CENA 2 ZŁ





(1 Do Koryntian 12, 2-11).

Bracia: Wiecie, że gdy byliście po-
ganami, prowadzono was przed
niemych bożków i szlście. Przeto
oznajmiam wam, że nikt, kto przema-
wia w Duchu Bożym, nie zlorzeczy
Jezusowi. I nikt nie może wymówić
„Panem jest Jezus“, jeno w Duchu
Świętym. Są różne dary łaski, lecz
tenże Duch. I różne są rodzaje posług,
lecz tenże Pan. I różne są rodzaje
działania, lecz tenże Bóg, który spra-
wia wszystko we wszystkich. A każ-
demu dostaje się objaw Ducha dla
ogólnego pożytku. I tak jednemu do-
staje się przez Ducha mowa mądrości,
a innemu mowa umiejętności według
tego Ducha. Jednemu wiara w tymże
Duchu, a innemu łaska uzdrawiania w
tymże Duchu. Jednemu dar czynienia
cudów, innemu prorocstwo, innemu
rozpoznawanie duchów, innemu roz-
maitość języków, a innemu umiejęt-
ność ich tłumaczenia. A wszystko to
sprawia jeden i tenże Duch, udziela-
jąc każdemu z osobna, jako chce.



(Sw. Łukasz 18, 9-14)

Onego czasu: Mówił Jezus do nie-
których, którzy samym sobie ufa-
li, jakoby byli sprawiedliwi, a innymi
pogardzali, tę przypowieść: Dwóch
ludzi weszło do świątyni, aby się mo-
dlili: jeden faryzeusz, a drugi celnik.
Faryzeusz stojąc tak się modlił w du-
szy: Boże, dziękuję Ci, że nie jestem
jak inni ludzie, drapieżni, niesprawie-
dliwi, cudzołożnicy, jako i ten celnik.
Poszczę dwakroć w tygodniu, składam
dziesięciny ze wszystkiego, co mam.
A celnik, stojąc z daleka nawet oczu
swych nie chciał wznieść w niebo, ale
bił się w piersi mówiąc: Boże bądź
miłosiw mi grzesznemu. Powia-
dam dam: Ten odszedł do domu swe-
go bardziej usprawiedliwiony niżli
tamten. Albowiem każdy, kto się wy-
wyższa, będzie unижony, a kto się uni-
ża, wywyższony będzie.

Dzielo uświęcenia naszego byłoby rze-
czą niemożliwą, gdybyśmy chcieli do-
konać go własnymi siłami, jedynie
bowiem przez Ducha Świętego czyni nasze
nabierają wartości nadprzyrodzonej, której
z siebie nie mają. Oto, co Kościół tłumaczy
nam dziś, dając pojęcie prawdziwej pokory
chrześcijańskiej. Zostawieni sobie jesteśmy
niemocnymi i grzesznikami. Bogu zawdzię-
czamy unikanie grzechu, otrzymanie zaś
przebaczenia i możność wymówienia cho-
ciażby tylko Imienia Jezus dla stwierdze-
nia Jego Bóstwa (Lekcja). Toteż w przy-
powieści o faryzeuszu i celniku Boski
Mistrz piętnuje pychę, polegającą na ufa-
niu we własne siły, a objawiającą się w
gardzeniu bliźnimi. Tę mistrzowską przy-
powieść pięknie komentuje św. Augustyn:
„Faryzeusz, powiada, wstąpił się modlić.
Lecz nie chciał się modlić, tylko siebie
wychwalać. Mało, nie tylko nie chciał Boga
prosić, lecz jeszcze urągał temu, który się
modlił (celnikowi). Celnik zaś stał z dala,
ale Pan patrzy na niego z bliska. Choć bo-
wiem wielki jest Pan, to jednak spogląda
na to, co niskie, co pokorne. Dlaczego nie
patrzył w niebo? Bo patrzył w siebie. Wej-
rzał w siebie, a wskutek tego nie podobał
się sam sobie, a przez to podobał się Bogu...
Bił w piersi swoje — bić się w piersi nic
innego nie oznacza, jak uznać się winnym
tego, co się w sercu kryje, oraz karać wi-
dzialnym uderzeniem niewidzialny grzech”.

Forma życiowa Ewangelii jest wyraźnym
zaprzeczeniem faryzejskiej postawy życio-
wej. Na wstępie przepowiadania Chrystu-
sowego stoi znaczące słowo: odmienne wa-
sze nastawienie, wasz sposób myślenia i pa-
trzenia! To słowo, to żądanie w coraz to
nowych antytezach przewija się poprzez
całą Ewangelię. Pierwsze z ośmiu błogosła-
wieństw stojących na czele nowego progra-
mu etycznego królestwa Bożego zwraca się
do ubogich w duchu, do tych, którzy w po-
czuciu swej nędzy i grzeszności wyczekują
miłosierdzia Bożego. Chrystus przestaje naj-
chętniej z celnikami i grzesznikami. „Nie
przyszedłem wzywać sprawiedliwych, ale
grzeszników”. W dumnych i ufających sobie
i sprawiedliwości faryzeuszów jak grom ude-
rza słowo: „Celnicy i nierządnicę uprzędą
was do królestwa Bożego!” Grzeszny i po-
korny celnik odchodzi usprawiedliwiony, a
nie wyliczający swe zasługi faryzeusz. Wzo-
rem dla uczniów jest małe i pokorne dzie-



ciątko: „Jeżeli nie staniecie się jako dzieci,
nie wnikdziecie do królestwa niebieskiego”.
Raz po raz powtarza się w Ewangelii zda-
nie: „Kto się wywyższa będzie poniżony, kto
się poniża będzie wywyższony”. Jezus cho-
dząc po ziemi galilejskiej czy judajskiej nie
szuka u tych, których zbawia, dobrych u-
czynków i zasług, nie pyta nigdy: „Czy wy-
pełniłeś wszystkie przykazania” — ale nic-
odmiennie powtarza pytanie: „czy wierzysz,
czy ufasz, że mogę to zrobić?” Najważniej-
szym warunkiem jaki musi spełnić czło-
wiek, aby Chrystus mógł go zbawić jest
jego wiara i ufność, poleganie na Bogu.
Zarówno dzisiejsza Lekcja mszalna jak
i Ewangelia są dowodem słuszności takiego
właśnie rozumowania.

Faryzeusze głoszą samousprawiedliwienie
z uczynków Zakonu, wg. ich pojęcia czło-
wiek własną mocą wznosi się ku Bogu.
Ewangelia zaś głosi wybawienie, które z gó-
ry, od Boga zstępuje ku ludziom, wybawie-
nie przez łaskę. Imię Jezus wyraża najgłę-
bszy sens formy życiowej Ewangelii: Jezus,
Jahwe, Bóg zbawia! Zbawienie zstępuje z
góry od Boga; o tyle jednak wejdzie do
duszy człowieka, o ile otworzy się na przy-
jęcie go, o ile przyjmie ona odpowiednią
postawę. Postawa ta sprowadza się do po-
kory, polega na przewyciężeniu postawy
suwerennej, w osobie ufającej naszego
„ja”. Kto jest pewny siebie i kto wierzy
w siebie, niezdolny jest do przyjęcia króle-
stwa Bożego. Człowiek przez pokorę musi
wytworzyć w swej duszy próżnię, aby tę
próżnię mógł zapelnąć Bóg. W miarę i rów-
noległe z zamieraniem naszego „ja” wzrasta
w duszy naszej królestwo Boże. Droga do
nowego życia wiedzie tylko poprzez śmierć
naszej pychy, czyli naszego, z siebie i dla
siebie działającego „ja”.

A gdyby zapytać czym jest pokora i od-
dać głos filozofowi, to odpowiedź może być
dwojaka. Albo prosta: pokora to prawda,
albo bardziej złożona:

„Pokora, powiada Scheler, jest stałym,
wewnętrznym pulsowaniem w samym ją-
drze naszego jestestwa duchowej gotowości
do służenia wszystkim rzeczom, dobrym
i złym, pięknym i szpetnym, żywym i mar-
twym. Jest ona wewnętrznym naśladowa-
niem owego jedyne wielkiego poruszenia
pierwiastka Chrystusowo-boskiego, w którym
pierwiastek ten dobrowolnie wyrzeka się swej
wysokości i majestatu i zbliża się do czło-
wieka, by być wolnym i nieziemsko szczęśliwym
sługą każdego człowieka i wszelkiego stwo-
rzenia Gdy bierzemy udział w tym ruchu
i nie troszcząc się o całe nasze jestestwo,
o wszystkie jego możliwe wartości, o jego
szanowność i godność, której człowiek dum-
ny kurczowo się trzyma, sami siebie na-
prawdę „tracimy”, gdy się „oddajemy” cze-
muś bez obawy o to, co się przez to z nami
stanie, ale z niejasną ufnością, że współ-
udział w owym boskim ruchu, dzięki jego
boskości i nam przynieść może tylko zba-
wienie — wówczas jesteśmy „pokorni”.

IMPERATYW WALKI

ATOMÓWKI ZNISZCZYŁY HIROSZIMĘ I NAGASAKI

Zastanawiałem się niejednokrotnie nad motywami walki, które skłaniają Kościół rzymskokatolicki do ataków na Kościół Polskokatolicki. Uważam, że żaden teolog nie znajdzie racji usprawiedliwiających. Kościół Polskokatolicki podobnie jak Kościół rzymskokatolicki jest prawdziwym Kościołem, którego założycielem jest Jezus Chrystus. O tej prawdzie wie każdy kapłan Kościoła rzymskokatolickiego. Droga jednak od rozumu do woli jest daleka. Wiedzieć to nie znaczy uznawać. Intelektualizm etyczny Sokratesa nie zawsze znajduje swoich zwolenników w życiu. Przykłady można by mnożyć. Wielu ludzi wie, że zachowywać przykazania Boże jest na pewno dobrą rzeczą. Poznają to przy pomocy rozumu. Wola jednak nie zawsze idzie za światłem rozumu, a często przyduszona egoizmem szuka subiektywnego rozwiązania i uzasadnienia działania. Takie jest życie. Nie dziwię się tym, którym nie dane było zgłębić tajemników wiedzy.

Chcę w artykule zająć się tymi, którym została przekazana władza nauczania, przekazywania prawdy. Przypominam sobie jeden z wykładów teologicznych w murach seminarium olsztyńskiego, kiedy to jeden z profesorów (uważany za fenomena filozofii) motywował tezę, której konkluzja brzmiała: aczkolwiek w Kościele Prawosławnym jest prawdziwy Chrystus (mają niezaprzeczną sukcesję apostołską) idąc obok kościoła prawosławnego pod grzechem nie wolno zdejmować nakrycia głowy, bo oni nie uznają papieża. Boże co za demagogia i sofizmatyka.

Wypływa z tego jasny wniosek, że Kościół rzymskokatolicki stawia znak równania między Chrystusem a papieżem, między stwórcą a stworzeniem. Tych zaś, którzy nie chcą oddać czci Boskiej człowiekowi (przypisać mu atrybut nieomyślności — nieomyślność jest właściwością jedynie Boga) nazywa się herezykami, kacerzami itp. A jaka jest odwrotna strona medalu? Ponieważ nie uznają papieża... I tu Drogi Czytelniku odwołam się do racji rozumowych. My uznajemy papieża jako człowieka, bo to wchodzi w zakres rozumowego poznania. Szanujemy jako biskupa Rzymu równego wszystkim biskupom w Kościele Chrystusowym. Odrzucamy jedynie dogmat nieomyślności. Nie dlatego, że się nam tak podoba, ale dlatego że jest to sprzeczne

ze źródłami objawienia i rozumem człowieka. (Czytaj Ks. Dr. Naumczyka „Nieomyślność papieża w świetle Pisma św.” i Ks. Dr. Włodarskiego „Kulisy nieomyślności”).

W imię irracjonalnej i bluźnierczej tezy papież = Chrystus, obrzuca się świętymi kamieniami, burzy krzyże, bezczęści obraży i wyszukuje różne oszczerstwa i wyrafinowane kalumnie na sługi ołtarzy innych Kościołów katolickich. To ma być argument teologiczny.

Z obserwacji życia wiem, że argument obrony nieomyślności papieża jest tylko płaszczkiem. Zasadnicza treść argumentów skłaniających do walki kler rzymskokatolicki jest zupełnie inna. Tu nie wchodzi w grę prymat nieomyślności. Ogół kapłanów nad tym się nie zastanawia. Mydli się tym oczy sfanatyzowanym dewotkom.

Perspektywa ataków nie jest natury teologicznej, ale jest jak najbardziej utylitarystyczna i oportunistyczna. Mówiąc językiem współczesnym broni się „koryta”. Kapłani rzymskokatolicki wiedzą, że Kościół Polskokatolicki jest dla nich wielkim konkurentem. Wiedzą dobrze, że w Kościele Polskokatolickim ołtarz nie jest straganem, na którym kupczy się sakramentami. Wiedzą dobrze, że Kościół Polskokatolicki będzie oczyszczał Kościół Chrystusowy z tego co wprowadziła chciwość i zachłanność ludzka. Wiedzą, że Kościół Polskokatolicki budzi umysły i serca ludzi do prawdy i czynu. I tego chyba najbardziej się boją.

Pomyśl Drogi Czytelniku, czy człowiek nie będzie bronił pracy, która mu daje 5000 dochodu miesięcznie, jeśli wie, że gdzie indziej może mieć 1000 zł. A cóż dopiero prebenda rzymska, której źródła są niewyczerpalne. Broni się jej wszystkimi środkami, bo cel jej uświęci — obrona papieża. I tu wrócę do intelektualizmu etycznego, o którym ogólnikowo wspominałem. Inteligentnie nie mają żadnych zastrzeżeń i wielu z nich interne (wewnętrznie) jest z nami. Jednak wola przyzwyczajona do łatwizny życiowej i oportunistu jest zbyt słaba, aby pójść za wskazaniem rozumu. Dlatego externe (zewnątrznie) walczą z nami nie wybierając w środkach.

Ks. JERZY SZOTMILLER

PORANEK

*Srebrny brzask rozprasza mroki,
Przedświt przyjdzie dnia zwiastuje.
Świt rozwidnia górskie stoki —
Jutrznia pięknem swym czaruje.*

*Zorza płonie już na wschodzie,
Z mgieł porannych słońce wstaje —
Życie budzi się w przyrodzie.
Wszystko Bogu cześć oddaje.*

*Ziemia kręgi swe odwieczne
Wciąż zatacza po przestworzu
Po to, aby dni słoneczne
Dały życie glebie, morzu.*

*To Bóg ziemię tak obraca
I zapala gwiazdy, zorze.
Niech Mu więc i nasza praca
W Jego trudach dopomoże.*

*Praca nasza od poranku,
Aż do schyłku dnia niech będzie
Jedną pieśnią bezustanku
Na cześć Boga zawsze — wszędzie.*

Lech Sądomiński

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA POWSZECHNEGO

POLITYKA KOŚCIELNA W HISPANII

Do niedawna istniała w Hiszpanii koalicja pomiędzy Kościołem rzymskokatolickim a systemem dyktatora Franco. Obecnie niektórzy wysocy dygnitarze tegoż Kościoła popierają strajkujących robotników. W kołach demokratycznych powątpiewa się o szczerości postawy kleru katolickiego. Należy rozróżnić dwie tendencje w polityce Kościoła w Hiszpanii: pewna część duchownych solidaryzuje się rzeczywiście z klasą robotniczą i ponosi następstwa tego oporu wobec władz zwierzchnich; druga czyni to tylko ze względów taktycznych, chcąc zapobiec odwracaniu się ludności katolickiej od Kościoła. Ukazujący się w Kopenhadze w Danii „Tygodnik Katolicki” krytykuje ostro politykę Kościoła w Hiszpanii, który uważa ten kraj za jednolity pod względem religijnym i wrogo odnosi się do mniejszości nierzymskokatolickich.

DOKOŁA SOBORU WATYKAŃSKIEGO

W niedzielę Zesłania Ducha Świętego papież Jan XXIII w swojej homilii powiedział m. in.: „Przyszły Sobór Powszechny nie będzie zajmował się wszystkimi prawdami nauki katolickiej, lecz przede wszystkim tymi, które są zaprzeczane, podawane w wątpliwość. Wątpliwości te pochodzą dzisiaj często ze starych błędów i w różny sposób wślizgują się w umysłowość ludzi”. Czekamy na urzeczywistnienie tej zapowiedzi. K.

9 maja 1945 roku hitlerowskie Niemcy padły na kolana i podpisały bezwarunkową kapitulację. Dla Europy oznaczało to koniec II wojny światowej a dla udręczonych ludzi powrót do normalnego życia i konieczność przystąpienia do usuwania zniszczeń wojennych. Ale na Dalekim Wschodzie działania wojenne toczyły się dalej. Japonia, trzecie ogniwo faszystowskiej osi Berlin-Rzym-Tokio — trwała w wojnie.

Słoneczny był ranek dnia 6 sierpnia 1945. Nad japońskie miasto Hiroszimę, centrum przemysłu włókienniczego i maszynowego, w porcie którego znajdowały się potężne stocznie okrętowe — nadleciała „latająca superforteca” amerykańska. Pod kadłubem zwisała bomba atomowa, żarłokliwie przezwana „chudziakiem”.

O godzinie 8 min. 15 (według miejscowego czasu) — operator zwolnił zawisy. W tej samej sekundzie, z coraz większą szybkością, zaczął zbliżać się do Hiroszimy pocisk atomowy. Na wysokości 400 metrów nad ziemią eksplodował. Bomba starła z powierzchni ziemi pół miasta, zabijając ponad 100 tysięcy ludzi.

W trzy dni później, dn. 9 sierpnia wybuchem amerykańskiej bomby atomowej zniszczone zostało drugie miasto japońskie Nagasaki. Z 300 tysięcy mieszkańców zatrudnionych w fabrykach, stoczniach — ponad 80 tysięcy straciło życie. Tętniące miasto, duma przemysłowej Japonii, stało się kupą gruzów, zbiorową mogiłą blisko jednej trzeciej jego mieszkańców.

Te właśnie dwie bomby zdecydowały o ostatecznej kapitulacji Japonii. Cesarz japoński, po „naradzie” z przodkami rzekł się „boskich uprawnień”.

Po raz pierwszy w dziejach ludzkości w 1945 r. człowiek przeciw człowiekowi zastosował broń masowego unicestwienia. Efekt tych eksplozji oszołomił, zdumiał i przeraził cały myślący świat. Prawdą jest, że bomby atomowe rzucone na miasta japońskie spowodowały szybkie zakończenie wojny na Dalekim Wschodzie. Ale prawdą jest, że te same bomby pozostawiły za sobą przeraźliwą smugę: bólu i długotrwałych cierpień i nieodbudowanych jeszcze do dzisiaj zniszczeń. Prawdą jest, że broń atomowa stała się groźnym sprzymierzeńcem dla tych, którzy marzą o panowaniu nad światem w drodze przemocy, gwałtu i zbrodni wojennej.

Pisaliśmy na łamach „Rodziny” o tragicznych skutkach, jakie do dnia dzisiejszego wloką się za ludźmi w wyniku użycia bomby atomowej. Choroba poatomowa, zanik zdolności biologicznych, zniszczenie życia organicznego w punktach ich eksplozji. To pokrótce bilans. Bilans tragiczny w swej wymowie i obrazie.

Nic więc dziwnego, że nazajutrz po ostatecznym zakończeniu wojny, cały świat, przepojony zasadami humanistycznymi wystąpił przeciw wprowadzaniu broni atomowej do działań wojennych, wystąpił zdecydowanie przeciw rozstrzygnięciu sporów międzynarodowych w drodze zbrojnej. I rozpoczęła się ogólnoswiatowa krucjata na rzecz pokoju powszechnego, na rzecz pokojowego współistnienia narodów. Coraz powszechniej przenika do świadomości ludzi zrozumienie konieczności oddania wspaniałych osiągnięć umysłu ludzkiego i ludzkiej techniki dla dobra ludzkości jako całości.

Świat wkraczając w erę atomową, rozbudował kosmiczne pojazdy rakietowe, osiągnął Księżyc, zdolne do lotów dookołaziemskich. Jakież bogactwa możliwości otwierają się przed Człowiekiem, zgłębiającym zagadki wszechświata. Dotychczasowe możliwości i te nieskończone możliwości jakie przed nami istnieją jeszcze nie mogą być skierowane przeciw człowiekowi. Muszą być wprężone w służbę człowieka, dla jego dobra. (O.)

WOLNA MIŁOŚĆ

Mariola zbierała z pasją fotosy aktorów filmowych, tańczyła szalowo i lubiła się stroić na wzór BB lub Loren. Koleżanki plotkowały o Marioli: — Ta to ma powodzenie, mota mężczyzn wokół najmniejszego palca. Nic dziwnego jest modna, nowoczesna, z prezentacją. Marioli to schlebiali. Cechą jej charakteru była pewność siebie ba nawet pewna władczość. Kiedy po ukończeniu szkoły rozpoczęła pracę w biurze wzbudziła zawiść i zazdrość u nowych koleżanek, a u mężczyzn... Kierownik biura chociaż żona i dzieciaty, lubił — jak to mówią — zaszumieć. Miał motor więc pewnego razu zaproponował: — Pani Mariolo, może się przejeździemy? Pani ma tak daleko do domu. — Dziękuję. Chętnie skorzystam, bo spieszę się dzisiaj na dansing — uśmiechnęła się zalotnie. Po chwili zagadnęła — a pan z żoną się nie wybiera? — Żona coś niedomaga. No ale potańczyłbym z chęcią, zwłaszcza, z tak uroczą panią. Pierwsza wspólna przejażdżka motorem, pierwsze spojrzenie i pocałunki zagubione gdzieś w rytmie jazzu. — Żona i dzieci, rodzinne radości i smutki pozostały w cieniu tego nowego egoistycznego uczucia, które było pożądaniem. A Mariola? Dla niej to była romantyczna igraszka rozpraszająca małomiasteczkowe nudy, pełna przygód, perypetii, niespodzianek. Wróble ćwierkały na dachu, że przez Mariolę u kierownika można było wszystko załatwić. I wtenczas u kilku żon na czele z p. kierowniczką zrodził się plan przedsięwzięty w obronie Polci nienaruszalności małżeństwa.

W CISZY LETNIEGO WIECZORU

Wieczór, cisza — ach jak błogo
w letniej ciszy czuć — żyć,
myśli, serce wznieść do Boga
natury czar z rosą pić...

Spokój, — księżyc na błękitie —
wietrzyk szepce. — listek drzy;
zbudź się, ach zbudź nowe życie!
— wszystko woła — gwiazda skrzy...

Noc, — sen krąży ponad ziemią
cichnie rozgwar złotych pól
ptaszki na gałązkach drzemią
nikną troski, słabnie ból...

Sen, — pociechą, sen nadzieją —
łagodnie żal i gniew
nawet smutki w śnie się śmieją,
— to przyrody cichy śpiew!...

STANISŁAW NIEBIAŃSKI

Pod zmyślnym pretekstem zaprosiły Mariolę do mieszkania jednej z nich. tam podstępnie pozbawiły dziewczynę wolności, obili ją i obnażyły z odzieży a następnie prawie nagą wypuściły po godzinie na ulicę. Sprawę rozstrzygnie sąd powiatowy w Szamotułach. Niezależnie od wyroku sądu sprawa pod względem moralno-obyczajowym jest dość specyficzna. W sposób niehumanitarny, zaiste średniowieczny potępia się i prześladuje „jawnogrzesznicę“ wychowaną przez takie samo środowisko małomiasteczkowe, a leżkę współczucia się roni nad dołą kierownika. On przecież był dobrym człowiekiem tylko tamta go zepsuła. I co jeszcze? Zwiódła go na manowce, nakłoniła do zdrady. Cóż, ludzie są realistami — wychodzą z założenia, że Mariola będzie musiała wyjechać z miasteczka wobec kompromitujących faktów, a p. kierownik z rodziną ostatecznie zostanie. Skłonni są niedostrzegać skutków egoistycznego pożądania i świadomej zdrady małżeńskiej, które rozbiły rodzinę i zrodziły przestępstwo, rozgrzeszają uwodziciela, a cały ciężar winy zwalają na dziewczynę. Ale Temida odmierza na równych szalach wagi.

Wolna miłość? — Ignorancja zasad moralnych i etycznych, kultywowanie postawy trwania w grzechu, łamanie przykazań Bożych. Dla jednych stwarza wygodną sytuację, zaspokaja ich ambycjki i zachcianki, innych poniża, niekiedy spycha na dno upadku. Ślub kościelny, przysięga na wierność dożgonną wobec Boga — po co? Wolna miłość nie wymaga przysięgi. Można się nią posługiwać niczym obiegową monetą. Śladami wolnej miłości kroczy anarchia moralna i obyczajowa, rozkład pożycia małżeńskiego i rodzinnego. Jakie są tego skutki? Niedawno w prowincjonalnym miasteczku Prabuty krążyła po chałupach szokująca wiadomość: Władysława J. odebrała sobie życie w mieszkaniu swego kochanka. W czasie dochodzenia większości zeznań obracała się wokół jej życia rodzinnego. Mówi kochanek — z zawodu robotnik fizyczny, wykształcenie dwie klasy szkoły podstawowej: — Żona z dzieckiem odeszła ode mnie i poszła do innego mężczyzny, żyłem więc z Władysławą J. dwa lata. Chciała do mnie sprowadzić się z dziećmi, ja tego nie chciałem. Na tym tle dochodziło między nami do kłótni. Mąż Władysławy J. rensa, dwie klasy szkoły podstawowej. — Z pierwszą żoną uzyskałem rozwód i oże-

MUZYKA WIEJSKA

Drzwi modrzewiowe śmiechem otwarte
A w nich melodia jak bukiet kwiatów...
Już wiatr jaskółkom rozsypał nuty.
Kroplami deszczu spadają z dachu.

Już zmierzch zabiera w pole muzykę
I śmiech dziewczyny w spojrzeniu z
okna —

Tylko topole na łące siwej
W wilgotnym zmierzchu samotnie
mrokna.

A tu muzyka pod samym oknem.
Radość ptaszka muzyki wiejskiej.
W żółtym rozbłysku chwijającej lampy
Patrzą zdziwione oczy niebieskie.

A tu już nocka, a tu oczęta
Znużone płaczem, znużone smutkiem
A tu muzyka pod samym oknem
Szeleści deszczem w ciemnym ogródku.

JÓZEF BARANOWSKI

niłem się z Władysławą, która także rozwiodła się ze swoim pierwszym mężem. Potem żyła właściwie ze mną i kochankiem. Kiedy zaczęła wynosić do niego różne drobiazgi zrobiłem kilka razy awanturę. Wreszcie machnąłem na to wszystko ręką. Pilnowałem tylko, żeby moich rzeczy nie wynosiła z domu.

Zeznaje osiemnastoletnia córka Władysławy z pierwszego małżeństwa. Danuta F. również ukończyła dwie klasy szkoły podstawowej, podpisuje się trzema krzyżykami: — Ojczym z kochankiem mamusi tylko początkowo się awanturował, potem już żyli w zgodzie. Pamiętam nawet, że pili razem w naszym domu wino, a mamusia dawała kochankowi do reperacji nasze obuwie.

Nieletni syn Władysławy J. z drugiego małżeństwa, uczy się: — Ojczym matce awantur ze współżycia z kochankiem nie robił. Nie zgadzał się tylko, żeby wynosiła rzeczy i przeprowadziła się z nami do domu tamtego pana.

Władysława J. zaplątała się w maceczniku wolnej miłości, ale ta miłość każe zapominać o dzieciach. Tego Władysława J. jako matka nie chciała zrobić. Brakło jej wreszcie sił, aby rozplątać ten gąszcz konfliktów. Przyszły najgorsze doradczynie: desperacja i rozpacz. Podszepnęły straszną myśl. Skończył się życiowy dramat Władysławy J. — trwa jednak dramat jej rodziny. Osiemnastoletnia córka podpisująca się trzema krzyżykami, syn częściej przebywający na ulicy lub u kolegów aniżeli w szkole, chorowity mąż.

Nikt im nie zastąpi matczynego serca, jej troskliwego spojrzenia i opiekuńczej dłoni.

FR. OSZMIANSKI

W połowie XVI stulecia przywędrował ziemniak ze swej gorącej ojczyzny — Ameryki Południowej — w pierw do Hiszpanii a następnie do Italii, gdzie znano go pod nazwą „Tartuffol” z której to nazwy ułtaria się nazwa powstająca — kartofel.

Ziemniak długo czas był znany tylko jako przysmak. Dopiero w XVIII w. kiedy postrod rozných mieszczesc jakie nawiezdily Europę zjawil się i glod poznano ogromną wartosc kartofla, artykułu, żywiącego na szeroką skalę. Postrod rozných nieprzyjaciół atakujących ziemniaka groznym jest tak a jeszcze groźniejsza stonka ziemniaczana chłazszczyk pokazujący się w Europie od pewnego czasu a przybyły z Ameryki.

Stonka ziemniaczana składa swe jajka na naci ziemniaczanej. Z jajek tych legną się brązowe larwy, które szybko zzerają liście na skutek czego lodygi więdną i podziemny rozwój ziemniaka ustaje.

(drz)

Abd dostac się do nieba
 4. **Modlitwa.** Ostatnim warunkiem, który nam zapewnia najbliższej zachowywać przykazania i spełnić dobrze uczynki, jest iaska uczynekowa. Trzecim środkiem do zbawienia wiernego jest iaska uczynekowa. Jest ona jakby potężnym skrzy- stanowi, aby nam dawał i pomazał w nas tę iaskę Boga. naszego zbawienia. Bo nawet i Kosciół Chrystus Pan na to u- Laska Boza uswiecająca jest najważniejszym środkiem do na pewno się zbawi.

1. **Religia.** Pierwszym warunkiem do osiągnięcia zbawienia wienia jest iaska uswiecająca, która czyni nas świętym, daje nam nowe życie Boze, tak że kto posiada iaskę uswiecającą, na pewno owo się zbawi.

2. **Laska uswiecająca.** Drugim koniecznym środkiem do zbawienia jest iaska uswiecająca, która czyni nas świętym, daje nam nowe życie Boze, tak że kto posiada iaskę uswiecającą, na pewno owo się zbawi.

3. **Laska uczynekowa.** Trzecim środkiem do zbawienia wiernego jest iaska uczynekowa. Jest ona jakby potężnym skrzy- stanowi, aby nam dawał i pomazał w nas tę iaskę Boga. naszego zbawienia. Bo nawet i Kosciół Chrystus Pan na to u- Laska Boza uswiecająca jest najważniejszym środkiem do na pewno się zbawi.

4. **Modlitwa.** Ostatnim warunkiem, który nam zapewnia najbliższej zachowywać przykazania i spełnić dobrze uczynki, jest iaska uczynekowa. Trzecim środkiem do zbawienia wiernego jest iaska uczynekowa. Jest ona jakby potężnym skrzy- stanowi, aby nam dawał i pomazał w nas tę iaskę Boga. naszego zbawienia. Bo nawet i Kosciół Chrystus Pan na to u- Laska Boza uswiecająca jest najważniejszym środkiem do na pewno się zbawi.

CEL CZŁOWIEKA

Rok III Warszawa, 19.VIII.1962 Nr 33



małą radością stwierdził Genek, który od dłuższego czasu gniewał się z Tadekiem. — On gorszy od Henka.

— Genek ma rację — potwierdził Jurek. — Tadek to chuligan.

Nie skończył, bo nagle poruszyły się gwałtownie kasztanowe gałęzie, ktoś krzyknął i prosto na przestraszonego Burka skoczył z góry Tadek. Pies zaskowyczał, nie wiadomo — z bólu czy ze strachu, podkulil ogon i szarpnął się na łańcuchu. Tadek poderwał się na nogi i skoczył wprost pomiędzy ogłupiałych chłopców. Dopadł do Jurka, chwycił go za koszulę i, patrząc mu prosto w oczy, syknął przez zaciśnięte zęby:

— Kto chuligan? Powtórz...

— Ja, ja — belkotał ogłupiały Jurek

— Masz chuligana! — wrzasnął Tadek podnosząc rękę w górę.

W tym momencie zza baraku wyskoczył Roman, a za nim chłopcy z jego zastępu.

— Nie tak ostro, kolego, nie tak ostro — wołał ze śmiechem Roman. — Wpadło się w zasadzkę... i w ten sposób chcesz wyładować swój gniew?...

Z kolei zdziwił się Tadek.

— To wy nie w rowie? — pytał opuszczając podniesioną rękę

— Nie, kochanie... Myśmy pierwsi odkryli waszą tajemnicę i woleliśmy tu zaczekać, żeby zobaczyć, jak skoczy się ta historia. A swoją drogą podsłuchiwanie to brzydkie przyzwyczajenie...

Po tych słowach Roman odwrócił się i zawołał głośno:

— Heniek, Zbyszek, możecie zejść na ziemię. Burka zaraz zabierze pan Jabłonski

Przez kilkanaście sekund milczeli wszyscy, a potem jak na komendę rozległ się głośny śmiech. Śmiał się nawet Tadek.

POZNAJMY SIĘ

Proszę o umieszczenie mego adresu w „Stonieczku”. Chcę nawiązać korespondencję z koleżankami i kolegami z całego kraju. Oto adres: **HENRYK CWIKLINSKI** Lubawa ul. Kopernika 36 2 woj. Olsztyn

*

Za pośrednictwem „Stonieczka” pragnę nawiązać znajomość i korespondencję. **LATOSINSKA MARIA** urz. kl. VII zam. Piotrowa 12 p-ta Rogi, pow. Niemodlin, woj. Opole.

HISTORIA ZIEMNIAKA

- 1) Ja chciałbym być osobą dorosłą, dlatego, dlatego, że miałbym już ilkiego
- 2) Osobą dorosłą być jest trudniej
- 3) Człowiek dorosły według mnie powinien być taki, który
- 4) Chciałbym naśladować mego tatusia.
- 5) Podoba mi się to, że osoby dorosłe wierzą w Boga. Nie podoba mi się to, że pija alkohol i urządzają awantury i kłótnie.
- 6) Ja oceniam religijnosc ludzi dorosłych źle, bo niekiedy ludzie dorosli zamiasc isc do kosciola, to ida na zabawe lub do knajpy.
- 7) Bardziej religijna jest kobieta.

ANKIETA 7 PYTAŃ

SEN STASIA

Pokrzykując wesoło, biegnie Staś po podwórzu tocząc sobie obręcz. Co obręcz zwolni biegu, to Staś ją bęc! patykiem, że toczy się znów prędko, prędko naprzód. Zabawa pochłania go całkowicie, nie zwraca zupełnie uwagi na Bacę skomlącego cicho i spoglądającego na niego wymownie plonącymi od gorąca oczyma. Słońce doskwiera mocno, jego miseczka jest pusta a tu tak się chce pić!

— Stasiu — mówią proszące oczy Bacy — wody przynieś, wody choć trochę!

Ale Staś pogonił do ogrodu.

Pies znów zaskomlał O, gdyby nie był przywiązany do budy, czy nie pobiegłby do potoku płynącego w dolinie i nie zapokoil pragnienia?

W ogrodzie Staś usiadł pod gruszą. Zmęczył się bieganiem. Tak przecież gorąco! Powieki ciężą coraz mocniej... Chce się zerwać, by się znów dalej bawić, lecz naraz czuje, że dzieje się z nim coś dziwnego — głowa jego staje się wąska i zamiat rąk i nóg widzi, że ma cztery łapy... I co jeszcze? Ogon! Więc to on jest Bacą skomlącym tam, na podwórzu... Tak, tak, tak się to jakoś stało — siedzi w budzie, przywiązany do niej łańcuchem — jest właśnie Bacą, sponiewieranym Bacą o wypłowiałej sierści.

Przeraził się Skórzany pasek na szyi, do którego przyczepiony był łańcuch, ścisnął tchawicę. Jakież to nieprzyjemne! Szarpnął się Nie, łańcuch nie puszcza. Przy szarpaniu pasek naciska tchawicę aż do utraty tchu. Co robić? Jak się uwolnić?

Próbował zawołać:

— Mamo! Mamusiu! — lecz zaszczekał tylko.

Ach, jak gorąco. I nie ma się gdzie przed palącymi promieniami słońca schować. Wlewają się parzącą smugą wprost do psiego domku.

Podreptał za budę. Daleko nie mógł, bo łańcuch krótki. Tu też gorąco. Zwinął się w kłębek — może w ten sposób uchroni się nieco od żaru? A ten łańcuch — jakże piecze w szyję. Tak się nagrzał od słońca...

Baca-Staś jęknął. W gardle sucho aż język boli. Czemuż nie dają wody? Wszędzie jej przecież dość. Tylko w jego miseczce nie ma ani kropli...

Baca-Staś wzdycha skomli. Przed oczyma latają mu czerwone platy. Na domiar złego pchły tną straszliwie, jakby się u-

CHLEB STAROŚCI NIE MUSI BYĆ GORZKI

DO REDAKCJI „RODZINA” poczta codziennie przynosi dziesiątki listów. Treść tych listów jest różnorodna. Są listy miłe i niemiłe, formalne „pyskówki”, ale są i bardzo przykre. Te ostatnie są pisane trzęsącą się ręką staruszki lub staruszka, ludzi, którzy kiedyś byli pełni siły, werwy, tężyzny fizycznej i psychicznej. Ludzie ci dali kiedyś życie swoim dzieciom. Dbając o wychowanie, wykształcenie, dostarczali wszystkiego, co im do pełni życia było potrzebne. Często sami sobie wiele odmawiali, by „tylko dzieci miały”.

Radowali się, widząc cieszące się życiem swoje dzieci. Pokładali w nich nadzieje na „stare lata”. A tymczasem?... Niech oni sami powiedzą. Niech powiedzą fragmenty ich listów pełnych bólu i rozczarowania, nie do obcych, do własnych dzieci, do własnych synów i córek.

„Mam 78 lat — pisze Anna W. z Warszawy — i nie posiadam żadnych środków do życia. Syn, któremu przekazałam wszystko, co miałam, oświadczył, że nie będzie mnie utrzymywał, i kazał iść żebrać, bo on ma dużo swoich kłopotów. Syn i synowa pracują, zarabiając przeszło 4.000 zł i mają na utrzymaniu dwoje dzieci. Proszę mi poradzić, czy syn ma obowiązek utrzymania mnie, bo on twierdzi, że żadnego”.

„Zacny” synalek niech przyjmie do wiadomości, że istnieje obowiązek alimentacyjny pomiędzy krewnymi w linii prostej, w związku z czym musi zagwarantować matce utrzymanie. To jest obowiązek prawny, niezależny od moralnego, który, jak widać, obcy jest zarówno synowi jak i jego żonie.

Z listu Heleny Ch. z Żyrardowa, liczącej dzisiaj 72 lata, wynika, że dopóki mogła pracować, każda z jej dwóch zamężnych córek (którym zresztą oddała wszystko, co miała) chętnie ją widziała u siebie, bo „babcia” i w polu pracowała, i w domu, i dziećmi się opiekowała. Aby córkom pomagać w równej mierze, pani Helena Ch. przebywała jeden miesiąc u jednej, drugi u drugiej. Kochała także swoje wnuczka, które zawsze mówiły jej „babciu, „babuniu”...

Kiedy jednak starą steraną trudami ciężkiego, długiego życia kobiet zaczęły opuszczać siły, gdy zaczęła niedomagać i trzeba było się nią zaopiekować — wówczas bardzo szybko zmienił się stosunek córek do matki. Starsza radziła jej, by pozostała u młodszej, a młodsza żeby ułożywała się u starszej. Wychowywane przez nią wnuki, które przedtem babcie lubiły, teraz zaczęły jej unikać.

Pani Helena Ch, czując, że jest ciężarem swoich najbliższych, poprosiła o kąk ludzi obcych. Przyjęli ją i nie krzywdzą sobie, bo „babcia” przypilnuje im dzieci, domu i co może to robi. Nie żałują jej więc łyżki strawy i kawałka chleba. Zresztą jest przecież człowiekiem. Musi gdzieś mieszkać i żyć.

Oto co pisze w swoim liście pani Antonina D. z Barwic k Szczecinka. Kilkanaście lat temu za namową córki i zięcia sprzedała swój mały domek w Lubelskiem, kawałek ziemi, krowę, oddała im wszystkie pieniądze i wyjechała z nimi na Ziemię Zachodnie. Namawiali ją do tego i zapewniali, że będzie jej razem z nimi dobrze, że dadzą jej opiekę i utrzymanie aż do śmierci.

Dopóki była młodsza, zdrowa, dopóki mogła ciężko pracować w polu, w domu i wychowywać wnuczki, rzeczywiście nie było jej tam źle. Ale gdy podupadła na zdrowiu i siłach córka i zięć przypomnieli sobie, że przecież ma jeszcze dwóch synów i powinna teraz do nich pojechać. Wróciła więc w swoje rodzinne strony, ale żaden z synów przyjąć jej nie chciał. Powiedzieli, że „skoro mama oddała wszystko córce, to niech ona mamę trzyma”. Ale do córki p. Antonina pojechać nie mogła.

Poprosiła o mieszkanie swoich dalekich krewnych. Przyjęli ją. I mimo podeszłego wieku (69 lat), p. Antonina radzi sobie sama. Może jeszcze chodzić, więc latem zbiera i sprzedaje jagody, grzyby, zioła a zimą przędzie ludziom wełnę, skubie pierze i parę złotych sobie zarobi. Sąsiadki także o niej pamiętają, odwiedzają ją i zawsze przyniosą, co jej potrzeba.

Nie było we wsi Dąbrowa, pow. Sieradz, lepszego ojca nad Czesława Jaśkiewicza. Chłopisko rosło, pracowite, spokojnego charakteru, miał złote ręce do roboty i do śmiechu był skory. Dopóki dzieci były mniejsze wszystko za nie robił. W zimie, gdy zwały się śniegi, Czesław swoje dzieci dźwigał do szkoły na plecach. Ciężko pracował jako tracz i drwal. Ziemię swoją też musiał obrobić, a miał przy tym chorą żonę i tych troje ukochanych dzieci. Lata biegle, dzieci rosły. Najmłodszy syn zmarł, po jakimś czasie córka z żoną. Czesław pozostał z najstarszym, najukochańszym.

Na oczach wsi rozgrywała się Czesława tragedia, chociaż długo ją ukrywał przed ludźmi. Gospodarstwem zajął się ożeniony syn. Początkowo ojciec pasał krowy i serdecznie bawił wnuka jak dawniej syna. Później synowa wyrzuciła go do komory, dawała mu raz dziennie jeść, zabraniała bawić się wnukowi z dziadkiem bo ma świerzby, nie prała mu bielizny. Stary ukrywał to, ukrywał tak długo, aż się rozchorował, nie miał gdzie prac swoich łachów, oblażył go wszy. Synowa zamykała go w komorze, żeby ludziom się nie skarżył, wmówiła w niego, że jest głuchy i strasznie głośno mówi, że ma solitera, bo „żre bez miary”.

Jeszcze zdążył zobaczyć nowiutki dom syna, postawiony z drzewa, które złote jego ręce ongiś przygotowały. Starego z jego złym losem zostawiono w starym domu. Nadeszła wigilia. Nikt go nie zaprosił do wspólnej kolacji. Dzień zastał go martwego w oborze, siedzącego w kuczki z podpartą oburącz głową. Sąsiedzi usłyszeli tylko, jak synowa wo-



łała do męża: „Tadek, chodźno! Też sobie stary miejsce wybrał!”

Człowiek staje się sierotą nie tylko wówczas, gdy we wczesnym dzieciństwie odumierają go rodzice. Bardzo często czują się osieroceni ludzie starzy, podupadli, którzy mając nawet własny dach nad głową, kawałek ziemi czy rentę starczą, nie mogą już sobie sami poradzić i potrzebują opieki i serca w pierwszym rzędzie od swoich najbliższych: od dzieci i wnuków. Niestety nie zawsze ta pomoc przychodzi, nie zawsze przychodzi z tej strony.

Wiadomo, że człowiek stary, chory, słaby jest często bardzo trudny w pożyciu, że wymaga pewnego poświęcenia. Ale czy ze strony dzieci nie stanowi to obowiązku? Tymczasem ileż razy opiekę nad spracowanymi rodzicami wymusza orzeczenie sądowe? Ileż razy córkę z matką albo ojca z synem godzi prokurator lub milicjant, a jak często obcy ludzie, sąsiedzi? Jak jeszcze często dzieci wstydy są swoich rodziców?

Oto syn-inżynier chował swoją matkę w szafie, gdy przyszli goście bo była skromnie ubrana, a do tego mówiła gwarą...

Starym rodzicom przeważnie niewiele potrzeba. Zawsze to podkreślają, że pragnęliby schować się do najciaśniejszego kąta „byle tylko nie przeszkadzać”. Potrzebują odrobinę cierpliwości i dużo naszego serca. Pragną u schyłku życia być blisko swych dzieci, radować się ich osiągnięciami i wspierać dojrzałą radą w kłopotach. Są najcierpliwymi opiekunami ich dzieci.

A one o każdej porze patrzą na wszystko i jak najczulsza maszyna notują w swej pamięci. Jaka będzie nasza starość — zależy od nas samych: od tego, jak traktujemy — swoich rodziców, takiego traktowania rodziców nauczymy własne dzieci.

Starych, opuszczonych i cierpiących krzywdę ludzi często otacza obojętność ze strony środowiska, organizacji społecznych, organów władzy ludowej. Postulujemy więc, aby wszystkie organizacje społeczne i młodzieżowe, wszystkie instytucje i organy trudniące się wychowaniem, tak państwo jak i Kościół, wspólnym wysiłkiem rozbijali ten mur obojętności wszędzie tam, gdzie on istnieje.

Opinia publiczna może okazać się tu bardziej skuteczna niż najlepsze nawet paragrafy kodeksu karnego. Sięgnijmy więc do tego oręża w obronie człowieka, w obronie godności ludzkiej.

CZEKAMY NA WASZE LISTY.

Ks. mgr E. KRZYWAŃSKI





PROCESJA BOŻEGO CIAŁA W KRAKOWIE



W uroczystość Bożego Ciała, 21 czerwca br., w polskokatolickiej parafii, przy ul. Friedleina 8 w Krakowie odbyła się tradycyjna procesja prowadzona przez Wikariusza Generalnego diecezji krakowskiej, Księdza Infułata Tadeusza Majewskiego.

W tym dniu przed uroczystą sumą Ksiądz Infułat poświęcił nowy baldachim, ufundowany przez ofiarnych polskokatolickich wyznawców z parafii przy ul. Friedleina.

Podczas Mszy św. celebrowanej przez Księdza Infułata w asyście miejscowych kapłanów, skromna, lecz przytulna kaplica nie mogła pomieścić wszystkich wyznawców. A było ich sporo. Przyszli oni, aby zmanifestować publicznie swoje przywiązanie do Chrystusa utajonego w Najświętszym Sakramencie i procesjonalnie iść za Panem ulicami Krakowa.

Uczucie wdzięczności i dumy narodowej mógł budzić widok udekorowanych okien emblematami religijnymi w mieszkaniach nieznanymi sympatyków Kościoła Polskokatolickiego, u tych, dla których dążenie do Boga w katolickim, ale narodowym Kościele, jest nie tylko potrzebą zdrowego rozumu, teologicznej racji, lecz serca i ducha polskiego.

Niesiony w monstrancji Pan błogosławił zarówno tym, którzy w zwartych szeregach kroczyli za Nim, jak i tym, którzy złowrogo patrzyli na braci — Polaków, wierzących w Jezusa Chrystusa z Kościoła Polskokatolickiego.

Wśród melodii eucharystycznych pieśni niósł Przewielebny Ksiądz Infułat Tadeusz Majewski utajonego Pana, a echo akompaniamentu orkiestry 16-osobowej roznosiło się daleko i docierało do wszystkich ludzi dobrej woli.

Przy czterech ołtarzach odśpiewano kolejno początek czterech Ewangelii. Przy każdym ołtarzu śpiewał chór, pod kierunkiem ks. Radcy M. Samborskiego, wrotki hymnu „Chwal Syjonie“.

Podczas procesji szczególną uwagę zwracał pochód niesionych sztandarów i chorągwi, uformowanych szeregów ministrantów, ubranych w ornaty kapłanów i dziewczynek w bieli sypiących kwiaty.

Przy ostatnim ołtarzu, u wejścia do Kościoła p.w. Wniebowstąpienia Pańskiego Wikariusz Generalny, Ksiądz Infułat T. Majewski na ustawionej ambonie wygłosił kazanie, poświęcone znaczeniu Eucharystii w życiu wierzącego człowieka, a szczególnie Polaka, wyznawcy Jezusa Chrystusa, Najwyższego Arcypasterza.

Kiedy dostojny Kaznodzieja duchowo łączył się z Jego Eminencją, Księdzem Biskupem Prymasem Dr Maksymilianem Rodem, który w tym czasie również w Warszawie niósł Eucharystycznego Pana w gronie Episkopatu polskiego, to dawał wyraz przywiązania wszystkich wyznawców Kościoła Polskokatolickiego do swego przewodnika — Biskupa Prymasa.

Łączył się również duchowo Ksiądz Infułat z wszystkimi biskupami na świecie, którzy organizują katolicki i narodowy Kościół, Kościół Ewangelii i narodowych uczuć w pełnym tego słowa znaczeniu.

Z tego co powiedział nie trudno było dopatrzeć się powszechności Polskokatolickiego Kościoła i jego roli w naszej Ojczyźnie.

W serdecznych, ojcowskich i kapłańskich słowach dziękował uczestnikom uroczystości Bożego Ciała.

Dziękował kilkunastoosobowej delegacji z parafii z Bolesławia, która przybyła do Krakowa, aby swoim współparafianom zanieść wiadomość, że gród praocjów naszych budzi się do nowego religijnego życia.

Po kazaniu doroczną uroczystość eucharystyczną zakończono błogosławieństwem Najświętszym Sakramentem i odśpiewaniem hymnu „Ciebie Boże, chwalimy“.



W LETNI ZMIERZCH

Dzień w wieczór się schyla i zapada cisza.
Dopala się zachód zgliszczami obloków
Czujny księżyc błądy, nad lasem zawisa,
By ziemię wkołysać w zadumę i spokój.

Noc miękko stąpa zmierzchem osrebrzona
Aromatem traw niesie od łąk dalekich
Spokój osiada na pszennych zagonach,
Szemrzą listowiem olchy nad rzeką.

Pastelowa przestrzeń umiera oczom
Zwężona liniami widnokregu.
Idą w mrok drzewa jak żalobny pochód
Wargami z szuwaru wysysam piosenkę.

II.

Ma myśl w kwitnieniu chlebnym pól
zrodzona.
Jak jasny promień tęsknoty biegnie ku Tobie
W ten wieczór grający w nowiu
świerszczami,

Gdy w błysku samotnych oczu
Osamotniały lka wierny mój żal
Trudno nie myśleć o Tobie, Wiekuisty Panie...

Objawiasz się nam co dzień tajemnicą
wielką
Jesteś w blasku gwiazdnych szlaków
I w drzew odwiecznym szumie...
Przebywasz wśród nas i nie ma Ciebie...
Ale znajdzie Cię każdy, kto szukać Cię
będzie
Kto Ciebie kocha szczerze — każdy Cię
zrozumie.

III.

Schodzi dzień letni znużony upałem
Narasta mrok w ciszy zastygłej błękitem
Gwiazdy jak perły spadają szelstem w
trawę

Dzwoni wieczór świerszczami i żytem.
Na wargach pozostał słodki smak zmierzchu
I cichy śpiew rozmodlonej duszy...

BR. GÓRALIK — BOŻANOWSKI

NOCY CICHA...

Dogasa miedziany blask zorzy zachodniej nad spłówałym wzgórzem. Teraz wschodzą gwiazdy. Migotliwe paciorki rozsypanego różańca.

Najdoskonalszą melodią nocy — to cisza tak wyczuwalna, że słyhać jak stąpa czas uchodzących godzin.

Schodzi noc.
— na utrudzone serca ludzkie
— na nasze wszystkie zamiary i dążenia
— na wszystkie wzloty i upadki
— na radości doznane i smutki
Noc zapomnienia
Noc kojącej ciszy
Noc odpoczynku
— i błogosławi trud podjętych godzin
— błogosławi dlonie robocze, które kierują sterem nocnego czasu.

Pełno gwiazd. Migotliwe paciorki rozsypanego różańca.

Trwa cisza — zgłębiona ledwo dosłyszalnym szelstem modlitwy.

Jak ogarnąć Twój wszechświat daleki, jaką myślą zgłębić istotną treść nocy.

Kiedy horyzont nieba zlewa się z horyzontem ziemi.

Daleka to droga, duszo moja.
Przeto modlitwa niechaj rozrasta się w Tobie słodkim rozpamiętywaniem. W rozumie doskonałej z Bogiem, wśród niezgłębionej otchłani nocy.

Albowiem ufność naszą w Tobie pokładamy. O, Panie!

Bezgraniczna jest miłość Twoja, a miłosierdzie wielkie.

W Tobie cicha noc w srebrnej zamieci gwiazd, jako w przebyskach łaski.

Tedy usłysz modlitwę naszą, Panie!

Józef Baranowski

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE

Dziesięcioletni Staś zachowywał się tak samo jak zawsze — chodził od płotu do płotu swym drobnym, powłóczywym krokkiem. Z wgiętymi ku środkowi kolanami. Głowa jego była pochylona, a w pół otwarte usta ciągle coś wymawiały. Gdyby posłuchać, brzmiałoby to tak:

— Tam, tu... Tam, tu... jeden, pięć... jeden, pięć.

Oto przystanął, uniósł głowę w górę, zapatrzył się na szpaki, pogwizdujące na gruszy — tu i ówdzie wisiała tam jeszcze słodka gruszka, dziobały ją więc ptaki łakomie. Roześmiał się Staś, potem zaczął zbierać liście z ziemi, podrzucać ku ptakom. Znudzilo mu się to wnet. Przykucnął i zaczął dłużyć w ziemi, szepcząc coś. A potem usiadł przy płocie, wetknął wskazujące palce w kąty oczu i pozostał tak długą, długą chwilę. Była to jego zwykła poza. Z rękoma przy oczach siedział godzinami.

Matka — przystojna, młoda kobieta spoglądała na swego syna przez okno. Twarz jej wyrażała smutek głęboki. Żal uzewnętrzniał się w strudze łez.

— Moja to wina... Moja to wina... I nie już jej nie naprawi... O, wyrodną matką jestem, przeklętą matką jestem. Oczy me

lżawić będą zawsze, ilekroć spojrzę na tego chłopczyne...

Cóż to robiła, kiedy nosiła maluchną istotkę w swym łonie? Piła wódkę!

„Najczęstszą przyczyną opóźnienia, zahamowania rozwoju umysłowego jest nadużywanie alkoholu w okresie ciąży“ — powiedział lekarz po zbadaniu Stasia, gdy pełna ropaczy udała się z biednym dzieckiem do oddalonego o 80 km miasta, gdzie znajdował się zakład neurofizjologiczny.

A więc tak... Te kieliszki napełniane palącym płynem, wychylane z upodobaniem były powodem niedorozwoju umysłowego jej syna...

— Pij! — namawiano — co tam kilka kieliszków! Dziecko będzie mocniejsze! Co tam to znaczy!

Kilka kieliszków powtarzało się często i ot — co znaczyły! Gdyby lata mogły wrócić wstecz, gdyby to teraz nosiła swą dziecinę pod sercem, o, czyż zdołałby in kto namówić do wzięcia do ust choćby kropli wódki!

Co pocznie w dalszym życiu jej syn? Jak zdoła i potrafi zapracować na kawałek chleba?

E. Drzewuska

CZY PLAMY SŁONECZNE

MAJĄ JAKIŚ WPŁYW NA ZIEMIĘ?

Periodyczność działalności Słońca nie ma wpływu na natężenie promieniowania wysyłanego przez Słońce na Ziemię. Pomiarzy tego natężenia dają jednakowe wyniki w okresie minimów i maksimów działalności Słońca. Prawdopodobnie pewien niedobór wywołany występowaniem plam — miejsc o słabszym natężeniu promieniowania — pokrywa wzmocnione natężenie promieniowania licznych pochodni, które występują obficie w okresie maksimum działalności Słońca.

Stwierdzono, że obszary plam słonecznych, a może również i inne obszary powierzchni Słońca, wysyłają roje cząstek materialnych naelektryzowanych (prawdopodobnie elektronów i protonów), które dostając się w okolice Ziemi wywołują zjawiska zorzy polarnej, obserwowanych często w okolicach podbiegunowych Ziemi (stąd też nazwa — polarne). Otóż cząstki te działają na rozrzedzone gazy w górnych warstwach atmosfery, podobnie jak elektrony działają na gazy w reklamach świetlnych: wywołują świecenie gazów bombardowanych przez te cząstki. Dlatego w okresie maksimów działalności Słońca obserwujemy częściej zjawisko zorzy polarnej, kiedy to duże obszary nieba świecą różnymi barwami, nieraz w bardzo dziwaczny sposób, tworząc coś w rodzaju świetlnych słupów, luków i draperii.

Innym przejawem obecności cząstek naelektryzowanych w pobliżu Ziemi są zakłócenia jej pola magnetycznego¹⁾ przez ruch tych cząstek. Cząstka naelektryzowana w ruchu stwarza własne pole magnetyczne, które „nakładając się” na pole Ziemi wywołuje zmianę wypadkowego kierunku i natężenia magnetycznego pola ziemskiego. Dlatego też w okresie maksimów działalności Słońca mamy często tzw. burze magnetyczne. Igły kompasów nagle odchylają się od kierunku północy magnetycznej i co chwila zmieniają swój kierunek wprowadzając w błąd marynarzy i lotników. Burze te często można powiązać z występowaniem pojedynczych

plam na Słońcu. Stwierdzono przy tym, że od chwili gdy jakaś duża plama znajduje się najbliżej Ziemi (przejdzie najbliższej środka tarczy słonecznej), do chwili powstania burzy magnetycznej na Ziemi upływa zazwyczaj 1 — 1,5 dnia. Tyle więc zużywa czasu naelektryzowana materia słoneczna, by przejść ze Słońca na Ziemię. Jest to dowód, że zarówno zorze polarne, jak i burze magnetyczne są wywołane ruchem materii, a nie promieniowaniem słonecznego, inaczej bowiem między opuszczeniem przez materię Słońca a znalezieniem się jej w pobliżu Ziemi upływałoby nie 1,5 dnia, lecz tylko 8 minut, tyle bowiem czasu biegnie światło ze Słońca na Ziemię.

Przybywająca ze Słońca materia, którą nazywamy promieniowaniem korpuskularnym, musi wywoływać pewne zjawiska w naszej atmosferze, a być może również i na powierzchni Ziemi. Tych spraw nie udało się dotychczas doskonale zbadać stwierdzono jednak ponad wszelką wątpliwość, że np. w okresach maksimów działalności Słońca roczny przyrost drzew jest większy niż w okresach jego minimów. Pnie starych²⁾ drzew odzwierciedlają w pewnym sensie historię Słońca.

Stwierdzono również, że w okresach maksimów działalności Słońca poziom jezior (nie połączonych bezpośrednio z morzami) jest na ogół wyższy niż w okresie minimów. Wydaje się więc, że w okresach maksimów średnia wilgotność powietrza jest większa.

Prawdopodobnie jeszcze wiele innych zjawisk na powierzchni Ziemi wiąże się z działalnością Słońca. Jednak jest rzeczą niezmiernie trudną wyodrębnić wpływ działalności Słońca spośród wpływu innych czynników na różne zjawiska na Ziemi.

1) Pole magnetyczne — obszar otaczający każdy magnes lub przewodnik, po którym płynie prąd elektryczny. W tym obszarze igła magnetyczna odchyliła się od położenia normalnego i ustawia wzdłuż tzw. linii pola, biegnących od jednego bieguna magnetycznego ku drugiemu.

CELIBAT

Instynkt płciowy należy do najsilniejszych wrodzonych popędów wśród wszystkich organizmów żyjących; jest to dar natury służący życiu, bez którego życie uległoby wygaśnięciu. „Rośnijcie i rozmnażajcie się” — mówi Starotestamentowy Jehowa do pierwszej pary ludzkiej.

Stawianie przeszkód seksualnemu wyżyciu się człowieka prowadzi do wypaczenia tego popędu, skierowania go na nienormalne tory, powoduje występowanie różnych zbroczeń płciowych, oraz różnego rodzaju psychoenerwicz zdolnych zachwiać równowagę umysłową.

Wprowadzony w XI w. przez Grzegorza VII przymus celibatu duchownych katolickich, tam gdzie jest on rzeczywiście zachowywany (wyłączając natury zimne i upośledzone od urodzenia pod względem seksualnym, oraz zgrzybiałych starców), wywołuje wszystkie te wymienione dolegliwości. Popęd płciowy występuje niezależnie od ascezy, niezależnie od koloru habitu i ilości sznurków, jakie nosi na sobie delikwent. Owszem, myśl, że pragnienia swe należy tłumić, rodzi (psychologicznie jest to uzasadnione) właśnie niezdrowe perswazje. I święci nie byli oszczędzani przez pokusy...

Św. Rodrigus, jezuita, autor dzieła o „Doskonałości i cnotach chrześcijańskich” prześladowany był przez wizję nagich kobiet, które mu kładły na oczy swe piersi. Św. Hieronim przebywając na pustyni, w Judei, miał wciąż przed oczyma tańce rzymskich dziewcząt. Św. Grzegorz Wielki, by poskromić swe zmysły sypiał w kamiennym łożu; Św. Bernard, by ostudzić swe lubieżne pragnienia zanurzał się w lodowatym jeziorze. Św. Dominik dla odmiany, nosił na ciele żelazną kolczugę i znany jest pod przydomkiem „Pancernika”...

I na cóż abstynencja faktu, której towarzyszy nieustannie myśl o „grzechu”? Czyż nie jest rzeczą słuszniejszą zaspokoić swój instynkt płciowy, niż być stale „policzkowanym przez ciało”? Czyż nie słusznie naucza Apostoł Paweł, że „lepiej ożenić się, niż upalnie cierpieć”? Czyż nie słuszniej załatwić się z pałacą nas potrzebą fizjologiczną, niż dozwalać, by była ona stale towarzyszącą nam pokusą i w wyobraźni odbywać duchowo wszystkie orgie niezaspokojonego temperamentu?

By uspokoić sumienia wierzących, zaznaczyć muszę, że tzw. celibat nawet w rzymskokatolickim Kościele nie jest dogmatem wiary, lecz zarządzeniem administracyjnym Kościoła rzymskiego. I nie służył on bynajmniej umoralnieniu kleru, owszem był źródłem jeszcze większej rozpusty, służył natomiast finansowym interesom kurii rzymskiej. Żonaty proboszcz troszczył się więcej o swe dzieci niż dziesięcinę, owszem dzielił między nich swój ruchomy i nieruchomy majątek. Tak było istotnie w okre-

sie, gdy „księżyce” chodzili po ziemi — syn księdza bowiem był nazywany księżycem, anologicznie, jak syn wojewody wojewodziecem, a syn kasztelana kasztelanem.

Czy celibat istniał od zarania dziejów chrześcijaństwa? Bynajmniej!

Chrystus nie żądał nigdy od uczniów, by wyrzekli się małżeństwa. W Nowym Testamencie znajdujemy, że „wiele kobiet chodziło za Jezusem i usługiwało mu” (Mat. 27,55), a Apostołowie wdzili z sobą kobiety (żony) (1 Kor. 9,5). Nawet prokatołicki pisarz, ks. prof. Stefan Biskupski w „Prawie małżeńskim Kościoła rzym. kat.” przyznaje, że w początkach chrześcijaństwa duchowni żenili się — w myśl słów Apostoła Pawła, że „Biskup ma być mężem jednej żony” (1 Tym. 3,2-5). Apostoł pisze tu dosłownie, że „Biskup ma być nienaganny, mąż jednej żony, przywoity, gościny, ku nauczaniu zdolny”... By nie było wątpliwości, dodaje następnie, że obowiązkiem bpa jest przykładowo wychować swe dzieci, bo... „jeśliby swym własnym domem zarządzać nie umiał, jakże może mieć starania o dom Boży” (1 Tym. 3, 4-5).

Nie tylko o biskupach mówi Apostoł kilkakrotnie, ale i o diakonach, którzy sprawowali niższe urzędy kościelne (1 Tym. 3,12). I mówi dalej: „I czyż nie mamy prawa wodzić z sobą współsiostry, żony, jak inni Apostołowie i bracia Pańscy i Piotr?”

Dlaczego więc nie żenia się księża, zwłaszcza papież, uważający się za następcę Piotra, który miał żonę, jak to wiemy z uzdrowienia jego teściowej (Mat. 8, 14-17). Czyż dalej Apostoł Paweł nie stwierdził, że Apostołowie mają prawo mieć żony, tak jak Piotr (1 Kor. 9,5), czyż nie naucza, że „kto się ożeni nie grzeszy” i nie nazywa dziełem szatana nauk, które zabraniają wstępować w związki małżeńskie?

Nie będziemy mnożyć dalszych przykładów, ani opisywać dramatycznych walk duchowieństwa broniącego się przed uznaniem celibatu. Zaznaczę jedynie, że jeszcze w XVI w. zdarzali się żonaci duchowni, a Sobór Trydencki (Kanon 132 i 188) okłada klątwą ich związki małżeńskie. Zawsze byli jednak i obrońcy celibatu... owszem, Św. Justyn, męczennik i filozof, uważał stosunki cielesne za zło konieczne potrzebne jedynie do utrzymania gatunku i pochwałal kastrację. Zwolennikiem kastracji był również przedni pisarz chrześcijański Origenes i przekonania swe udokumentował czynem, pozbawiając się tego, czym grzeszył... Liberalniejszy nieco był Tertulian, który nie uważał wprowadzenia małżeństwa za zło bezwzględne, lecz w każdym razie za coś „nieczystego”. Św. Augustyn

pisze, że dziewice zajmą w niebie o wiele zaszczytniejsze miejsce niż ich zamężne matki... itd. Podobnie rozumował Św. Hieronim.

Innego zdania był Kościół wschodni, który orzekł na synodzie trullańskim (962), że księża mogli i mogą się żenić. „Nieomylni” papież Konstantyn i Hadrian I potwierdzili uchwały tego synodu. Papież Hadrian II sam był żonaty. Dopiero papież Wiktor II, Stefan IX i Mikołaj II, zaczęli występować przeciw małżeństwu. Wspomniany już Grzegorz VII zabronił definitywnie małżeństwa i nakazał duchownym by porzucili żony. Synod w Triencie potwierdził przymus celibatu.

Oczywiście łatwiej było celibat nakazać, niż wprowadzić go w życie. Nie wiele pomagało powoływanie się na Św. Hieronima, który zalecał ucieczkę od niewiast, nazywając je „bramą szatana”. Prędzej może pogodziliby się duchowni ze stanowiskiem Św. Augustyna, który prosił Boga, by natchnął go pobożnością, ale nie zaraz, lecz wtedy, gdy już jego grzeszne popędy przygasną („Wyznania” — cytuję z pamięci).

Zabraniając duchownym małżeństwa, pozwolono im jednak mieć młode niezamężne niewiasty jako „gospodynie”. Trzeba dużo dobrej wiary, by nie wątpić, że między tymi młodymi niewiastami i duchownymi, pozostającymi pod wspólnym dachem, nie było nic więcej niż pobożne wzdychania i modlitwy! Istotnie, synod w Elwirze zalecał duchownym przyjmowanie na „gospodynie” tylko najbliższe krewnie. I to nie musiało jednak pomagać skoro biskup Ecbert z Yorku wyznaczył kary na księży, którzy uprawiali nierząd ze swymi siostrami. Wprowadzono potem przepis, by „gospodynie” nie były zbyt młode („wiek kanoniczny” do dziś nie przestrzegany!)

Do czego prowadzi celibat, pokazuje Synod w Nowej Cezarei, który mówi o pederastii i sodomii (stosunek ze zwierzętami). Wspomniałem już w niniejszym rozdziale, że głównym powodem celibatu (jeżeli nie jedynym) była wielodzietność duchownych. Dowodzi tego choćby zarządzenie usłużnego dla Kościoła cesarza Justyniana, który wydał zarządzenie, że nie może być wybrany na biskupa ten, kto ma dzieci i wnuki, by Kościół nie był pozbawiony majątku.

Sądzę, że wyczerpałem w głównych zarysach problem celibatu zarówno od strony dogmatycznej, jak i historycznej.

J. SZYMANOWSKI

SMUTNE DZIECIŃSTWO

— Nie czary, nie czary, tylko cukrzyca — rzekł opryskliwe lekarz. — Już dawno trzeba było wezwać. Przynajmniej uprzedziłbym, że obżeranie się tłustym mięsem, serami, śmietaną i jajami — to gwóźdź do trumny dla chorego na cukrzyce. Swoją „troskliwość“ doprowadziła pani syna do agonii. Jego organizm na skutek nieleczenia choroby i rozległania jej niewłaściwym odżywianiem, zaczął wytwarzać aceton — śmiertelnie trucizną. W tej chwili cukrzyca u syna przeszła w swe ostatnie stadium, w kwasicę całego ciała, która spowodowała śpiączkę. A ta śpiączka zakończy się śmiercią, jeżeli nie zdążymy w porę odwiedzić chorego do szpitala. Trzeba było wytłumaczyć temu idiotcie parobkowi, którego przysłała pani po mnie, jakie są objawy choroby. Zabrałbym ze sobą zastrzyki insuliny i glukozy. Mogłbym udzielić pierwszej pomocy. A tak jestem bezradny, bezradny — rozumie pani? Gdzie tu jest telefon, idę dzwonić po pogotowie ratunkowe...

— Na posterunku, panie doktorze, na posterunku — krzela kobieta.

Kiedy lekarz wracał z posterunku, podbiegł do niego zdyszany soltys i poprosił go o zbadanie Gorzeckiego, który już rzezi. Ale pomoc lekarska okazała się tu już zbyt późna. Lekarz ograniczył swą czynność tylko do stwierdzenia zgonu.

Po pogrzebie dziadka Gorzeckiego soltys zwołał ogólne zebranie dorosłych mieszkańców wioski, aby zespołowo zdecydować o dalszym losie Danusi. Jakoś jednak nikt nie kwapił się do zabierania głosu w tej sprawie. Ludzie kryli wstydliwie oczy pod powiekami lub patrzyli w ziemię. Dziewczynka jest jeszcze mała, ma zaledwie sześć lat. Gdyby była starsza, mogłaby przydać się w gospodarce, a tak, to tylko przysporzy kłopotów. Być może powtórzyłaby się historia z nowelki „Miłosierdzie gminy“, gdyby nagle nie odezwała się stara Bielecka. Ku zdumieniu wszystkich oświadczyła:

— Przysięgam Gorzeckiemu, że po jego śmierci przygnę dziewczynkę do siebie i przysięgi dotrzymam. Pójdź dziecko, mój dom będzie twoim domem.

Z ust zgromadzonych wyrwały się westchnienia ulgi.

I oto Danusia wraz z bosym Kruczkiem znalazła się w pogotowym domu. Tymczasem nadeszła ze szpitala wieść, że młody Bielecki zmarł. Bielecka, która w głębi duszy wciąż jeszcze wierzyła w uroki rzucone rzekomo na jej syna przez Gorzeckiego, zapalała nienawiścią do Danusi

Zaczął się ciężki okres w życiu dziewczynki. Bita, głodzona, przezywana, musiała ciężko pracować w gospodarstwie swej opiekunki. Jedyłą pociechą była dla niej przyjaźń Kruczka. Ale i to się skończyło. Zgorzkniała starucha otruła psa. Danusia po kryjomu włożyła ciało czworonożnego przyjaciela do tekturowego pudełka, które znalazła w piwnicy i pochowała psa obok mogiły dziadziusia. Zrobiła nawet krzyżyk z powiązanych sznurkiem patyczków. Często wieczorami (w dzień nie miała czasu) przychodziła tu, aby nad



grobami zyczących istot popłakać sobie nad swą dolą.

Znów upłynął rok. Pewnego popołudnia komendant posterunku MO wybrał się na ryby. W sitowiu nad rzeczką natknął się na małą dziewczynkę. Rozebrana do pasa stała po kolana w wodzie i pochlipując, obmywała z ciała krew. Na jej plecach, ramionach i udach dostrzegł komendant czerwone i sine pręgi. To była Danusia. Nie wiedząc, że ktoś za nią stoi, narzekala:

— O Boziu, Boziu, czemuś mi zabrała dziadziusia! Gdyby on żył, nie byłabym bita na śniadanie, obiad i kolację. Nie spałabym w chlewie razem z krowami, nie byłabym zawsze głodna i nikt by mnie nie zmuszał do ciężkiej pracy. Świniom lepiej się powodzi niż mnie.

Komendant poczuł, że mu zwiłgotniały oczy. Zawstydzil się. Wszak to on obiecywał konającemu Gorzeckiemu, że zadba o los jego wnuczki. I nie zadbał. Zapomniał. Objęła mu się czasem o uszy, że stara Bielecka niewłaściwie obchodzi się z dziewczynką, ale nie sądził, że

aż do tego stopnia. Wyrzucił robaki do rzeki. Danusia przestraszyła się, usłyszała plusk wody i zobaczywszy milicjanta. A on powiedział:

— Nie bój się dziecko. Już nikt cię więcej nie będzie bił.

Wziął ją za rękę i poprowadził do wioski. Na brzegu rzeki została zakrwawiona koszulka.

Ludzie widząc na ulicy komendanta prowadzącego polną, ociekającą krwią wnuczkę Gorzeckiego też się wstydzili. Wiedzieli przecież aż na zbyt dobrze o krzywdzie dziecka, a jednak nie protestowali. Przymykali oczy na okrucieństwo staruchy w obawie, aby problem opieki nad sierotą znów nie stanął na porządku dnia. Teraz czuli się tak, jakby te sine — zadawnione i czerwone — świeże pręgi na ciele dziecka oni sami wymalowali kijem i powrozem.

W kilkanaście minut później milicyjny gazik powioził Danusie do lekarza. Wróciła obandażowana. Przez cały jeszcze miesiąc mieszkała na posterunku MO. Mogła nareszcie odpocząć i najeść się do syta. Potem odwieziono ją do Państwowego Domu Dziecka.

Minęło czternaście lat. Studentka Politechniki Warszawskiej — Danuta Gorzecka wybrała się na wakacje autostopem do rodzinnej wioski. Po przybyciu na miejsce poszła najpierw na ementarz. Z radością stwierdziła, że obok mogiły dziadka wypina się jeszcze z ziemi mała mogilka Kruczka, porośnięta trawą. Po

Przjechałam, aby odwiedzić miejsca mego dzieciństwa i dlatego tu weszłam.

Kobieta milczała. Spod przymkniętych powiek pilnie przyglądała się młodej osobie. Wreszcie powiedziała:

— Proszę, niech pani usiądzie, panno Danuto.

— Pani mnie zna? — zdziwiła się studentka.

— Owszem, znam. To właśnie ja 20 lat temu urodziłam panią...

— Mama?

— O, nie nazywaj mnie tak, dziecko. Nigdy właściwie nie byłam twoją matką. Tylko cię urodziłam i to wszystko.

— Sądziłam, że nie żyjesz — myślała głośno Danusia.

— Często zastanawiałam się jak wyglądasz. Twoja twarz zatarła mi się w pamięci. A ty poznałaś mnie od razu, choć też tyle czasu nie widziałas mnie.

— Nieprawda, w ostatnich latach często cię widywałam, ale ty o tym nie wiedziałas. Po wyjściu z więzienia ludzie tutejsi powiedzieli mi gdzie jesteś. Nie raz przypatrywałam się twoim zabawom w Domu Dziecka, odprowadzałam cię do szkoły, czekałam na ciebie w pobliżu politechniki...

— Czemu nie podeszłaś do mnie? Czemu się nie ujawniłaś?

— Po co? Nie miałam do ciebie żadnych praw. Porzuciłam cię, gdy miałaś dwa miesiące. Potem zjawiłam się tylko po to, by cię sprzedać za futro i kilka tysięcy złotych. W czasie siedmioletniego pobytu w więzieniu (siedziałam za zabicie pewnego łajdaka) wiele spraw prze-myślałam, zmieniłam się. Jednak nie mogłam, nie wolno mi było wkraczać w twoje życie, komplikować je. Co innego gdyby źle ci się powodziło...

— Mamo...

— Proszę cię, nie nazywaj mnie tak, nie sprawiaj mi dodatkowego bólu. Moje piersi i tak są pełne cierpienia. Los ciężko mnie ukarał za moje winy...

Leżąca na łóżku kobieta zakrztusiła się kaszlem. Na ustach razem ze śliną pojawiła się krew.

— Mamo, ty jesteś chora — zawołała Danusia. — Mam trochę pieniędzy, sprowadzę lekarza, wyślę cię do sanatorium.

Nie trzeba, córeczko, nie trzeba. Już mi nic nie pomoże. Ja chcę umrzeć jak najszczęśliwiej.

Danusia nie słuchała. Krzyknęła tylko: — „zaraz wracam“ i pobiegła na posterunek milicji, aby zatelefonować do pogotowie ratunkowe. Gdy wróciła zdyszana i soocna, ujrzała straszny widok. Na podłodze leżała matka, nieżywa. Obok wałala się kartka papieru z następującym napisem:

„Córeczko, miałam truciznę i zażyłam ją. Jestem szczęśliwa, że okazałaś mi serce, chociaż wyrządziłam ci straszną krzywdę. Jeśli, córeczko, możesz, to przebac mi i zapomnij o mojej podłości. Wierz mi, że nie mogłam już dłużej żyć. Ty byś się na pewno poświęciła dla mnie, a ja nie mam prawa być dla ciebie ciężarem. Niech Bóg błogosławi dziadkowi i wszystkim ludziom, którzy wychowali cię na dobrego człowieka. Żegnaj“.

Danusia zaszlochala nad zwłokami swej matki.

Jeśli ktoś bliski zachoruje, a jeśli w dodatku choroba jest ciężka, zagrażająca życiu i przewlekła, najbliższe otoczenie czyni gigantyczne wysiłki, aby pospieszyć choremu z pomocą. Mobilizuje się lekarzy, zabiega o środki lecznicze. Stwarza się choremu jak najlepsze warunki do przetrwania, opanowania choroby i wyzdrowienia. Z reguły staramy się nie utracić nawet cienia pozoru szansy przyścia choremu z pomocą. I ten stosunek do chorego jest prawidłowy, chrześcijański.

Tak wygląda, tak przynajmniej powinna wyglądać troska o chorego w obrębie rodziny. I nie tylko w obrębie rodziny, ale w całym społeczeństwie, we wszystkich środowiskach.

Współczesna medycyna posługuje się w leczeniu schorzeń nie tylko lekami ale i sprzętem medycznym. Skomplikowane maszyny, złożone narzędzia chirurgiczne stanowią codzienny sprzęt podręczny lekarzy, którzy jeśli zadają ból choremu, to w przekonaniu, że po krótkim okresie bólu nastąpi poprawa w chorym organizmie. Przy troskliwym stosunku do chorego ze strony lekarzy zdarzają się wypadki dziwnej obojętności czynników administracyjnych właśnie w stosunku do sprzętu mechanicznego.

Nie jesteśmy gołostowni. Za „Tyg. Demokratycznym” przytaczamy fakt następujący:

Szpitalowi Onkologicznemu w Łodzi (miastu liczącym ponad pół mln. mieszkańców) jeszcze w 1959 r. przydzielono aparat rentgenowski. Aparat ten służył do głębokich terapii. A więc stosowany był w wypadkach ciężkich schorzeń rakowych i kosztował 540 tys. zł. Aparat ten złożono do magazynu, gdzie oczekiwać będzie na niezbędne adaptacje, które wykonane zostaną dopiero za trzy lata.

Niedopatrzenie, czy nieodpowiedzialna lekkomyślność? Inny przykład:

Kontrola Najwyższej Izby Kontroli stwierdziła, że aż 193 aparaty rentgenowskie nie zostały zupełnie wykorzystane. A są to przeważnie aparaty nowe, kosztowne, zakupione w ostatnich latach i nie włączone do eksploatacji lekarskiej. Aparaty, na które czekają lekarze, na które czekają chorzy.

Niedobrze dzieje się w „państwie duńskim” — czyli w naszym aparacie leczniczo-sanitarnym. Żyjemy w warunkach planowania na wszystkich odcinkach. W parze z zakupem urządzeń medycznych musi iść niezbędna adaptacja. Nie wyobrażamy sobie, żeby kosztowny sprzęt lekarski importowany do Polski za dewizy, sprowadzany był na

zasadzie wzoru „Pi razy oko”, i rozprowadzany na zasadzie przypadku. Sądzymy, że zaopatrzenie naszych ośrodków leczniczych opiera się o pewien zestaw potrzeb, ustalonych w drodze takiej czy innej ankiety. Wiemy, że nabytoby dobrze, że dostawy importowe, po ich podpisaniu realizowane są w ciągu kilku lub kilkunastu miesięcy. Nie trudno więc, z pewną określoną dokładnością, ustalić termin odbioru i termin przekazania do takiego czy innego punktu aparatu rentgenowskiego czy jakiegos innego.

Jeżeli istnieje tego rodzaju rozeznanie, a nie wyobrażamy sobie, żeby jakieś „ciemniaki” — jak mówi Wiech — zawierali umowy w dostawę sprzętu, to przecież zamówieniom zagranicznym powinna towarzyszyć świadomość komu jaki aparat jest potrzebny. Gdzie zostanie on zainstalowany i co trzeba zrobić w zakresie adaptacji aby bezwzględnie drogi sprzęt zaczął służyć cierpiącym i schorowanym ludziom. Jest nie do pomyslenia aby aparat rentgenowski był nieczynny przez 11 (słownie jedenaste) lat, tak jak to miało miejsce w Przychodni Obwodowej w Łodzi, gdzie nie można było zwerbować wykwalifikowanych sił do jego obsługi. Rozpaczliwie wygląda wykorzystanie sprzętu leczniczego również i w zakładach przemysłowych. W ambulatorium kopalni „Chwałkowice” nowy aparat rentgenowski był „zatrudniony” przez 6 tygodni w ciągu roku. A w kopalni „Rydultowa” w tym samym okresie zaledwie przez... 12 dni.

Nie tylko aparatami rentgenowskimi jest nieprawidłowa gospodarka. W pięciu największych naszych miastach, skupiających zaledwie 10% ludności, znajduje się 37 „aparatów elektrokardiograficznych”. Jest to oczywisty dowód zły, mówiący językiem ekonomicznym, dystrybucji sprzętu medycznego. Zachodzą przy tym tego rodzaju dziwolągi, że niektóre placówki zdrowia, zaopatrzone w aparaty EKG nie wykorzystują ich. W Szpitalu Powiatowym w Jasle EKG spoczywa w błogim śnie — bo nie ma do niego papieru odpowiedniego. W Chełmie od szeregu lat stoi EKG bezczynnie i bezużytecznie. W Klinice Medycznej w Krakowie i w Łódzkich Zakładach Służby Zdrowia stwierdzono, że 11 aparatów jest nie wykorzystanych.

Dość przykładów! Trzeba zbadać zasadnicze pytanie: kto jest odpowiedzialny za nie wykorzystanie sprzętu medycznego. Można usprawiedliwić uruchomienie aparatury z opóźnieniem kilkumiesięcznym, ale opóźnienie wieloletnie daje zbyt wiele do myślenia. Jest przede wszystkim dowodem bezmyślności. W takim razie dla bezmyślnych ludzi nie może być miejsca w aparacie służby zdrowia.

ADAM KŁOS



Może by nie była najładniejszą w klasie, gdyby nie te ciuzki. Ale nikt nie miał ani takich sukienek, pantofli czy miękkich, leciutkich sweterków, ani też całej masy ładnych drobiazków. Była jak świeżo kupiona laleczka. Czasami przychodziła po nią mama — taka pachnąca pani. Raz nawet po lekcjach czekał na nią przed szkołą czarny samochód. Stał na boku, a gromadka dzieci kilka kroków od niego. Kinga bardzo prędko otworzyła drzwiczki i usiadła obok puchatego stworzenia. Stworzenie miało ostrzyżoną dziwnie głowę. Jedyny pies „w klasie”, który chodzi do fryzjera.

Rodzice Kingi pracowali, a w domu była gosposia. Jej dom był tak pachnący jak ona sama. Wszystkie trzy pokoje nie były nigdy zakurzone, a w kuchennych szafkach stało dużo jedzenia. W tym domu Kinga miała mnóstwo własnych rzeczy, takich zabawek nie można dostać w żadnym warszawskim sklepie, a małe kolorowe biurko robiło na specjalne zamówienie. Mama Kingi jest bardzo zajęta. Rano pracuje w biurze, a po południu czeka ją jeszcze tyle roboty w domu. Dlatego jeżeli nawet przychodzi po Kingę do szkoły to tylko na małą chwilę. Tata po pracy ma jeszcze mniej czasu.

Ale Kinga lubi Marysię — i najchętniej u niej odrabia lekcje. U Marysi nie jest tak pięknie. Tam jest tylko jeden pokój. W dodatku wszędzie leży pełno łaszków — bo mama Marysi jest krawcową, ma dużo pracy i mało pieniędzy. Ale czasem idzie z nimi do kina albo kupuje im cukierki. Kinga ma w domu dużo lepsze, ale woli te od mamy Marysi. Jest jeszcze jedna rzecz. Mama Marysi czasami bawi się z nimi — na przykład w dom.

W POSZUKIWANIU

Zawiazuje im jednakowe kokardki i obie są wtedy jej córkami. Wieczorem przychodzi po nią gosposia i Kinga wraca do swojego domu.

Kiedy Marysia z rodzicami przeniosła się do innego miasta, przed szkołę po raz drugi zajechał czarny samochód. Wysiadł z niego elegancki pan, była wtedy przerwa między lekcjami i na następnej godzinie pani pytała dzieci czy ktoś nie widział Kingi. Okazało się, że Kingi od wczoraj nie ma w domu.

Najczęściej chodził w dresach. Takie granatowe dresy są bardzo praktyczne. Nie brudzą się tak szybko i można w nich długo chodzić. W domu miał tatę, mamę i kawałek stołu w kuchni do odrabiania lekcji. Wiedział, że obiad jest raz o czwartej a raz o pierwszej, w zależności od tego na którą godzinę mama dzisiaj idzie do fabryki.

Wiedział też na której półce są czyste koszule, a na której ręczniki. Nie uczył się ani specjalnie dobrze ani źle, po prostu tak sobie. Jak była wywiadówka przychodzili oboje z ojcem i siadali na ławce. Żaden z nauczycieli nie miał do Ryśka specjalnych pretensji. Wieczorem ojciec najpierw czytał gazetę, a potem kładł się spać — matka, mimo że coś tam zawsze miała do roboty, przeglądała codziennie jego zeszyty. Stopnie miał nie najgorsze... zobacz mammo dostałem czwórki o tutaj... ale mama nie uśmiechnęła się nawet. Jurek z drugiego ma same piątki — powiedziała. Rysiek ma dopiero 9 lat i czasem mu się zdaje, że jest jeszcze bardzo mały. Zwłaszcza wieczorem, a poza tym ma tyle rzeczy do powiedzenia. Ale mama mówi że jest za dużym chłopcem żeby się pchać na kolana i żeby lepiej poszedł spać.

W szkole ktoś powiedział pani że Rysiek w domu ma wronę. On już ma ją od dawna proszę pani, a przedtem miał małego wróbla, złapał go na ulicy i też trzymał w domu ale mu zdechł. Pani jest ciekawa, bardzo chciałaby wiedzieć o tym wróblu i o wronie. Rysiek o wronie mówi chętnie, ona miała chorą nogę więc ją trzyma w takiej komórcie i daje jej jeść i wynosi na spacer. A wróbla też miał. Był całkiem mały, znalazł go na ulicy, miał jeszcze żółty dzióbek łapał dla niego muchy, ale zdechł — proszę pani, w nocy zdechł.

On te zwierzęta mężczy prosił pani. Tej wrony to on nie chce wypuścić, a na kolonii trzymał salamandry w kuferku i pan mu dopiero zabrał. Rysiek milczał i w dalszym ciągu kreślił coś na ławce więc go pani o nic już wtedy nie pytała, dopiero jak byli sami. Powiedz Rysiek — co my z tą wroną zrobimy? Może by ją jednak wypuścić! Ale Rysiek nie chciał — ja pani pokażę jak ona je — z ręki — i nic się nie boi, jak mnie zobaczy, to pani wie, wskakuje mi na ramię i tak mnie trochę dziobie w policzek, ale to nic nie boli. I mogę z nią rozmawiać — naprawdę — ona mi opowiada — tak kracze cicho i czeka na mnie zawsze.

Kingę znaleźli w nowym mieście Marysi. Jej mama nie mogła zrozumieć dlaczego dziewczynka to zrobiła. Oni przecież pracowali cały dzień, żeby ich Kinga miała wszystko — zagraniczne zabawki i piękne sukienki, ostrzyżonego pudła i duże mieszkanie. Nie bardzo mogła zrozumieć, że Kinga w tym wszystkim była bardzo samotna i że właśnie nie miała matki.

Pani „od Ryśka” wytłumaczyła jego matce, że nawet taki duży chłopiec chce czasem usiąść na mamy kolanach i opowiedzieć jej dużo własnych spraw.

URSZULA BIAŁECKA

Woda w roli architekta

Na ziemi wszystko podlega przeobrażeniom. Przeobrażeniom też, choć powolnym a więc nieuchwytnym dla oka podlega i sama ziemia — jej powierzchnia. Jest to zjawisko erozji polegające na żłobiącym działaniu lodowców, wód płynących, wiatrów i deszczów na skorupę ziemską. Rzeźbiarką jest tu przede wszystkim rzeka, czy potok górski, który w ciągu wielu, wielu lat rzeźbił sobie w górskich pokładach naprzód wąskie, potem coraz szersze łóżysko. Działając ciągle w głąb, rzeka wyrównuje brzegi, „zmywa” prostopadłe ściany tworzy doliny. Wyrzeźbione przez działanie sił zewnętrznych przybierają nieraz fantastyczne formy. Warto przyrzeć się tym oryginalnym piramidom skalistym z okolic Bolzano (Włochy pin.). Strzeliste wieże i wieżyczki do złudzenia przypominają architekturę starych pałaców lub gotyckich świątyń. Na tle intensywnej zieleni lasów piramidy te wyglądają niezwykle malowniczo i oryginalnie.



CZY UMIESZ DBAĆ O KWIATY W WAZONIE?

Mimo kapryśnej pogody letniej upajamy się pięknem przyrody. Niemal codziennie znosimy do domów narezcę kwiatów, upiększając nimi swoje mieszkania.

Mamy jednak kłopoty z utrzymaniem ich w stanie jak najdłuższej żywotności. Niejedna głowi się, wysila się, aby kwiaty nie wędli, aby jak najdłużej utrzymały się. Dodaje więc do wody sól, aspirynę, cukier, a kwiaty mimo wszystko obumierają bardzo szybko.

Co więc zrobić, aby temu zapobiec?

Nie wiercie, że dodanie do wody aspiryny czy cukru przedłuży kwiatom żywot. Muszą mieć natomiast dużo codziennie świeżej wody, nie lubią przeciągu i jasnego słońca, lepiej czują się w pomieszczeniu chłodniejszym niż upalnym, nie lubią ciasnoty w wazonie.

Kwiaty o mięsistych, grubych łodygach wymagają specjalnie dużo wody. Jeśli np. macie w ogródku lewkonie — w wazonie przetrwają zupełnie przez 8 — 10 dni, jeśli wyrwiecie cały krzaczek, otrząśnięcie korzonki z ziemi i włożycie do dużego wazonu, siwaka lub dzbanka.

A oto kilka zasad praktycznych przedłużających żywotność kwiatów ciętych:

1. Wszelkie kwiaty o zdrewniałych łodygach (róże, bez, jaśmin), przeróżne gałęzie muszą być wzdłuż rozcięte ostrym nożem, koniec łodygi lekko rozbity młotkiem — ale nie zmiażdżony — łatwiej wówczas wchłania wodę.

2. Kwiaty przed włożeniem do wody muszą być oczyszczone z liści do wysokości zanurzenia — woda nie wydziela wówczas przykrego zapachu. Następnego dnia, przy zmianie wody, należy nieco skrócić łodygę, trzymając ją w wodzie.

3. Jeśli mamy pękaty wazon lub dzbanek, a zamierzamy wstawić do niego tylko parę kwiatków, dobrze jest włożyć do środka pęk krótkich gałązek jedliny, sięgających do poziomu wody. W takiej „gęstwinie” dowolnie ustawiamy kwiaty.

4. Pomoc w ustawieniu kwiatów w dużym wazonie stanowią również suche, rosochate gałązki, przycięte do wysokości poziomu wody. Naturalnie z takiej pomocy można skorzystać tylko przy wazonie nieprzejrzystym.

5. I wreszcie idealna pomoc przy układaniu kwiatów w wazonie o szerokim otworze — widełki. Rozwidloną gałązkę przycinamy odpowiednio do średnicy wazonu, umieszczamy ją około 4 cm pod powierzchnią wody, tak by mocno opierała się o boki wazonu i już dowolnie układamy kwiaty.

6. Widełki takie można przygotować również z prostego, ale giętkiego patyczka, rozcinając go na obu końcach ostrym nożem. Widełki można umieścić na krzyż i wówczas ułożenie kilku kwiatów w szerokim wazonie nie sprawi żadnej trudności.

WYŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE

WARSZAWA ul. Szwoleżerów 4

PRZYJMUJE KANDYDATÓW DO STANU DUCHOWNEGO.

Ci, którzy pragną poświęcić się służbie Bożej w Kościele Polskokatolickim, winni przesłać pod adresem Kurii Arcybiskupiej w Warszawie, ul. Wilcza 31, podanie dołączając doń:

- zyciorys,
- metrykę urodzenia,
- świadectwo szkolne,
- świadectwo lekarskie,
- trzy fotografie.

LEKARZ RADZI

CZYRAK

O czyraku powiedział ktoś kiedyś: „czyrak to mała choroba, ale duża nieprzyjemność”. Powiedzenie to jest zgodne z prawdą, gdyż czyraki dają duże dolegliwości. Pojedynczy czyrak to jeszcze pół biedy, ale niestety czyraki „lubią” przenosić się z miejsca na miejsce i gnębić człowieka przez całe miesiące. Czyrak jest następstwem zakażenia skóry (szczególnie w okolicach mieszków włosowych i gruczołów łojowych) bakteriami ropnymi. Najczęściej bakteriami, które ładnie nazywają się: gronkowce złociste. Pojedynczy czyrak początkowo jest to niewielkie bolesne zaczerwienione zgrubienie na skórze. Około 7 dnia guzek się zwiększa, po czym mięknie i wydziela ropę. Po wydaleniu czopa ropnego i płynnej ropy szybko się goi. Nieodpowiednie odżywianie bez uwzględnienia surowych jarzyn i owoców, wyczerpujące długotrwałe choroby, braki w higienie osobistej i otoczenia sprzyjają powstawaniu czyraków. Czyraki są częstą dolegliwością ludzi chorych na cukrzycę. Jak leczyć pojedyncze czyraki? W pierwszym okresie, trwającym około tygodnia, w okresie tzw. nacieków stosujemy okłady z 10% maści ichtiolowej, lub roztworu ichtiolu. Po pęknięciu czyraka stosujemy 5% maść sulfamidową, a w okresie gojenia zasypkę „Pabiamid”.

Gdy czyraki występują równocześnie w większych ilościach lub powtarzają się jeden po drugim, trzeba się zwrócić do lekarza. Leczenie będzie miało na celu zwalczanie zakażenia, oraz wzmacnianie odporności organizmu.

Dr A. M.

PORADY PRAWNE

Pan STANISŁAW KAMIŃSKI z Bolesławia k Olkusza

Panie Stanisławie, nie ma takiego przepisu prawnego, który by zabronił rzemieślnikowi, zatrudnionemu w przedsiębiorstwie społecznym, wykonywać roboty naprawcze na zlecenie osób prywatnych w godzinach wolnych od pracy. Zdaniem Redakcji Pan Stanisław prowadził warsztat legalnie. Kwestia natomiast opodatkowania — to zagadnienie, które nie sposób omówić w krótkiej poradzie prawnej.

Prosimy napisać list do redakcji czasopisma „Rzemieślnik”, Warszawa ulica Miodowa 14 i przedstawić całokształt sprawy, na który w odpowiedzi otrzyma Pan wskazówki jak należy postępować w podobnych wypadkach. Jedno wypada podkreślić, że Pan nie ubiegał się u władz finansowych o zwolnienie z prowadzenia księgi kasowej. Pana praca podlegałaby stosunkowi cywilno-prawnemu, a świadczenia z tego tytułu na rzecz skarbu państwa, zależałyby od wysokości kwoty za wykonane zlecenie. O tym piszemy jedynie na marginesie sprawy, której szczegóły podlegają kompetencji Izby Rzemieślniczej, w imieniu której redakcja „Rzemieślnika” Panu Stanisławowi odpowie wyczerpująco.

Do miłego przeczytania i pomyślnego załatwienia sprawy.

Mgr J. A. MILASZEWICZ

Pan Jan Aleksandrewski z Krakowa. Za uznanie dla naszego „pisma”, jak Pan pisze w liście do Redakcji, serdecznie dziękujemy. Przypomnijmy jednak, że Pan nie odróżnia „Szpilek” i „Przekroju” od „Rodziny”. „Rodzina” nie należy do pism satyrycznych.

Naszym bowiem celem nie jest satyra i wyciąganie cudzych brudów na światło dzienne, lecz podawanie prawdy. Prawda zaś podana bez osłonek wielu nie podoba się i „boli”. Ojciec, jeżeli gani syna za złe postępowanie, to nie po to, aby mu dokuczyć, lecz by wskazać na niewłaściwość postępowania i sprowadzić na drogę prawdy i cnoty.

My nie potępiamy żadnego człowieka. Potępiamy tylko grzech, zło, obojętnie w jakiej ono formie występuje. Celem bowiem naszym jest budować „Królestwo Boże” w duszach ludzkich, szczególnie polskich i w oparciu o naukę Jezusa Chrystusa.

Jeżeli ma Pan coś do pana Kołodzieja vel Collen-Kołodzieja vel Lecha Sądomirskiego prosimy zgłosić się do niego osobiście i porozmawiać z nim na „dawnie”, interesujące Was tematy, a nie wymyślać w liście do Redakcji. To nieładnie, nieetycznie. Papier przecież wszystko „ścierpi”, znieśie i przetrzyma.

Pan Tork z Bytomia. Dziękujemy za pozdrowienia i życzenia. Prosimy o podanie dokładnego adresu. Odpowiemy listownie.

Pani Maria Donderska z Chełmży. Dziwi się Pani, że my jako polskokatolicy swoich studentów w seminarium uczymy łaciny, a modlimy się po polsku, zamiast po łacinie.

Języków obcych uczymy i uczyć będziemy naszych studentów, ale modlić się będziemy w języku ojczystym, gdyż miłsze jest szczerkanie psa Panu Bogu, aniżeli bezmyślna, niezrozumiała przez modlącego się modlitwa.

Jesteśmy dumni, że Bóg nas stworzył Polakami, dał nam również piękny język polski, którym nie tylko mamy posługiwać się na co dzień, ale i w modlitwie.

Pani się cieszy, że nas „społeczeństwo potępia” i niszczy nasze świątynie. Pani się myli. Społeczeństwo polskie nas nie potę-

pia. Na szczęście mało jest takich, którzy tak myślą, jak Pani. Wyrazem tego niech będzie jeden z listów naszych Czytelników, którzy właśnie z oburzeniem, podobnie jak Pani Kempieńska z Nowego Tomyśla, piszą:

„Droga Redakcjo!

Tym, co przeczytałam w Katolickim Tygodniku „Rodzina nr 27, z dnia 8.VII.1962 r. str. 13 o napadaniu na Kościoły Polskokatolickie, rabowaniu, niszczeniu i demolowaniu, jak to miało miejsce i przy parafii w Krakowie, ul. Friedleina 8, jestem do głębi wstrząśnięta!

Ledwo mogę w to uwierzyć! — i robią to chrześcijanie — rzymscy chrześcijanie! No cóż — wystawiają sobie świadectwo nędzy duchowej.

Jednak żadna siła nie odbierze nam tej radości życia, jaką jest dla nas nasz Polski — Polskokatolicki Kościół!

Jak cudna jest Msza św. w polskim języku!

Jaka rozkosz jest chwalić Boga w mojej ojczystej mowie — w mowie, która moją jest, którą rozumiem — i sercem czuję — i głębią ducha przeżywam!

Oby jak najwięcej powstawało Kościołów Polskich — Polskokatolickich, które są nam naprawdę latarnią w ciemnościach.

Tą drogą życzę

Jego Eminencji Księdzu Biskupowi, Prymasowi Kościoła Polskokatolickiego Dr Maksymilianowi Rodemu — dla którego jestem pełna podziwu, wszystkim Biskupom i Kapłanom Kościoła Polskokatolickiego — wiele sił ducha — i ciała, w tej, jakże trudnej i mozolnej pracy — we własnej Ojczyźnie, na ojczystym zagonie.

Stanisława Matylda Kempieńska
Nauczycielka“.

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1. Potomek białego i Indianina; 5. Mieszkaniec Wielkiej Brytanii; 8. Niedozwolone; 9. Dychawica; 10. Uciśk; 11. Nakrycie głowy wysokiego dostojnika kościelnego; 12. Wzniesienie pożar; 15. Zamyka wejście do domu; 18. Może być mleczny; 19. Znalazłem po grecku; 20. Podwyższenie do wygłaszania kazań; 21. Bieg np. sprawy; 23. Drewniany dom; 26. Rodzaj cukierków; 29. Arkan; 30. Udowodnienie przebywania gdzie indziej; 31. Gatunek małpy; 32. Przykrycie; 33. Fałdowany kolnierz; 34. Imię męskie.

Pionowo: 1. Miasto na Florydzie w USA; 2. Gra liczbowa potocznie; 3. Suknia; 4. Nazywają tak stoninę; 5. Organ dowodzenia np. w wojsku; 6. Pożywienie; 7. Rodzaj opakowania; 13. Część stroju liturgicznego; 14. Bieząca woda; 16. Termin brydżowy; 17. Kierat; 18. Atrybut woźnicy; 18a. Nie ryba; 22. Poczet, drużyna; 23. Jasność; 24. Zwaliska; 25. Grupa osób; 26. Jednostka pieniężna Ameryki; 27. Spreparowane zwłoki (wspak); 28. Jest w każdym kinie.

Anegdota

Janowi III przed bitwą pod Wiedniem wezry przysłał worek maku, żeby go przeliczył i w ten sposób przekonał się, ile jest wojska tureckiego. Schleski przyjął mak i w zamian przesłał wezryowi do zjedzenia wór pieprzu, aby mógł się on z kolei przekonać, że wojsko polskie choć nieliczne, jest jednak mocne.

*

Celnik zatrzymuje na granicy przemysłnika;
— Co niesiecie w tym worku?
— Żarcie dla psa.
Celnik rozwiązuje worek i znajduje w nim herbatę.
— To ma być żarcie dla psa? To jest przecież herbaty!
— Nie będzie tego jeść! Wielkie zmartwienie, nie to nie.

*

Za panowania Stanisława Poniatowskiego pewien kupiec warszawski otworzył sklep-bazar, w którym można było wszystko kupić. Bawiący w Warszawie ksiądz Karol Radziwiłł, przyszedł do sklepu, obejrzał go pobieżnie i zadysponował:
— Stąd dotąd proszę wszystkich zapakować i przesać do mojego pałacu.

*

Do wydawcy przychodzi początkujący autor z pretensjami, że jego powieść od 3 lat leży w wydawnictwie i nie nie wskazuje na jej szybki druk. Wydawca — jak może — uspokoja go, w końcu mówi:
— Niech się pan nie denerwuje. Homer — który był na pewno lepszym pisarzem — czekał 2000 lat na ukazanie się swoich ksiąg, a pan nie może poczekać tych kilku głupich lat.

*

Jeden wariat pyta drugiego, który zawzięcie pisze list:
— Czy do mnie piszesz?
— Nie, do siebie.
— A jaka jest treść?
— Skąd ja mam wiedzieć, przecież list otrzymam dopiero jutro.

*

— Czy to jest ten sławny podróżnik?
— Tak.
— A gdzie on stracił nogę?
— W Afryce. Miał bowiem reumatyzm. Pewien kacyk murzyński, dowiedziawszy się, że podróżnik ten — dzięki bólowi w nodze — dokładnie przewiduje nadejście deszczu, odciał mu ją i powiesił u siebie w domu zamiast barometru.

*

Pewien uczony podczas pobytu nad jeziorem popłynął z rybakami łódką. Po długiej chwili milczenia zwraca się do rybaka:
— Czy znacie się na geologii?
— Nie, panie.
— To straciłicie 1/4 życia. A może znacie się na filozofii?
— Też nie.
— Niedobrze. Straciłicie 1/2 życia. A na anatomii?
— Nie, panie, nie znam się.
— Straciłicie więc 3/4 życia.
Nagle czólnio przewrócił się i obaj wpadli do wody.
— Czy umie pan pływać? — woła rybak.
— Nie, nie, nie umiem.
— To stracił pan całe życie.

SIERPIEŃ

N	19	X po Zesł. Ducha Św., św. Bolesława
P	20	św. Bernarda, św. Samuela
W	21	św. Joanny
S	22	Niepok. Serca NMP, św. Tymoteusza
C	23	św. Filipa, św. Apolinarego
P	24	św. Bartłomieja Ap., św. Jerzego
S	25	św. Ludwika, św. Patrycji

Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Redaktor Naczelny — Ks. mgr Tadeusz Gorgol. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 8-97-84: 21-74-98. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-14-147990 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrócie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy. Cena prenumeraty: kwartalnie — zł 26, półrocznie — zł 52, rocznie — zł 104. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa. Konto Nr 1-14-147990. Czytelnicy poza granicami kraju mogą zamawiać tygodnik „Rodzina” za pośrednictwem: Przedsiębiorstwa Eksportu i Importu „Ruch” Warszawa, ul. Wilcza 46; prenumerata roczna dla Europy wynosi: 1 \$ 19.70 DM. 23.40 NF 1.13.6 £; prenumerata roczna dla St. Zjednoczonych i Kanady 7 \$; prenumerata roczna dla Australii 2.16.5 £A i 20.4 £E.

Zakłady Wkłoslodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Zam. 1204. H-16.

TYSIĄCLECIE GDAŃSKA

Dość trudno jest dzisiaj dokładnie określić rok, w którym wybudowano pierwsze osiedle w Gdańsku. Były to czasy zamierchle. Dopiero wtedy, gdy Polska zaczęła jako państwo tworzyć swój byt, nazwa Gdańska zjawia się w starodawnych kronikach. Było to przed dziesięcioma wiekami. W żywocie św. Wojciecha napisanym blisko tysiąc lat temu, jest wzmianka o tym, że święty ochrzcił księcia gdańskiego, który podobno miał żonę z rodu polskich Piastów. Samo miasto, a ściślej mówiąc gród, nazywał się (jak zanotowały stare, pisane po łacinie kroniki) „Gdanze”, „Gyddanyze”, albo „Kdanze” (czyta się Gdańsk, Gydanyšk. Kdansk).

Gdańsk już od wczesnego średniowiecza zaczął odgrywać poważną rolę w życiu Polski.

Do miasta docierali kupcy z południowych i wschodnich krajów Europy, którzy skupowali od miejscowej ludności bursztyny, futra i różne plody ziemi pomorskiej, dając w zamian inne towary wyrabiane nad Morzem Śródziemnym i Czarnym. Badania archeologiczne prowadzone w Gdańsku, wykazują, że miasto w XII wieku miało prawie 2,5 tys., a w XIII wieku blisko 5 tysięcy mieszkańców. Na ówczesne stosunki było to już duże miasto.

Gdańsk leży u ujścia Wisły. To położenie zadecydowało o dalszym rozwoju miasta, jego znaczeniu i bogactwie. Wisłą na łodziach, tratwach i galarach płynęły plody polskiej ziemi, które następnie przeladowywano w Gdańsku na cudzoziemskie okręty. Gdańsk, mający wielkie zaplecze za sobą, rozwijał się i bogacił. Stawał się jednym z najważniejszych portów Europy.

Nieszczęściem miasta było to, że stanowił on sól w oku Krzyżaków. Rozumieli oni znaczenie Gdańska dla Polski, dlatego też niemal od pierwszej chwili po przybyciu na polskie ziemie, starali się zapanować nad tym portem. Udało im się to w 1308 r., gdy zajęli miasto, sprawiając przy tym krwawą rzeź kilku tysiącom gdańszczan. Krzyżacy panowali w tym mieście przez przeszło 150 lat. W 1454 r. Gdańsk gnębiony przez zaborców krzyżackich zbuntował się i stanął na czele Związku Pruskiego, który oddał się pod ochronę Polski i połączył się z nią na wiele lat — aż do rozbiorów. Mieszczanie gdańscy niejednokrotnie dawali dowody wielkiej ofiarności i patriotyzmu, odpiernając ataki krzyżackie, szwedzkie i brandenburskie, łożąc poważne sumy na wyposażenie wojska i floty wojennej.

Gdańsk należał do Polski przez 660 lat. Rozbiory Polski doprowadziły do okupacji pruskiej. Przetrwaly jednak do dziś ślady i dowody polskości tego miasta oraz jego przywiązania do Rzeczypospolitej. Wdzięczni gdańszczanie niejednokrotnie fundowali wspaniałe budowle, rzeźby, obrazy, które mówiły o trwałej więzi Gdańska z Polską. Nawet ostatnie okrutne zniszczenia, dokonane w czasie wojny, nie potrafiły zatrzeć tych śladów.

Po stu kilkudziesięciu latach niewoli Gdańsk wrócił w 1945 r. do swej Macierzy. Leżał wtedy cały w gruzach. Miasto i port zdawały się być niezdatne do życia. Minęło od tego czasu 17 lat. Miasto dźwignęło się z gruzów. Na ulicach Gdańska rozbrzmiewa polska mowa a do portu znów — jak dawniej — wpływają okręty z całego świata, by do innych krajów zawozić wytwory pracy polskich fabryk, kopalń, hut i wsi. Bogate tradycje kulturalne Gdańska są kontynuowane po dziś dzień. W mieście znajduje się kilka wyższych uczelni, w tym słynna Politechnika Gdańska, kilka teatrów, wiele kin, opera, filharmonia, wiele bibliotek i instytutów naukowych. Prace gdańskich naukowców zwłaszcza w dziedzinie gospodarki morskiej i budownictwa okrętowego, rozslawiają imię Polski na całym świecie.

Tysiąclecie Gdańska to tyle, ile liczy sobie Polska. Z tych 10 wieków Gdańsk był przez prawie 7 związany z Polską. Polskim miastem zostanie też już na zawsze.

Na zdjęciach — rozbudowujący się Gdańsk.

Fot. J. Kuruliszwiłł

